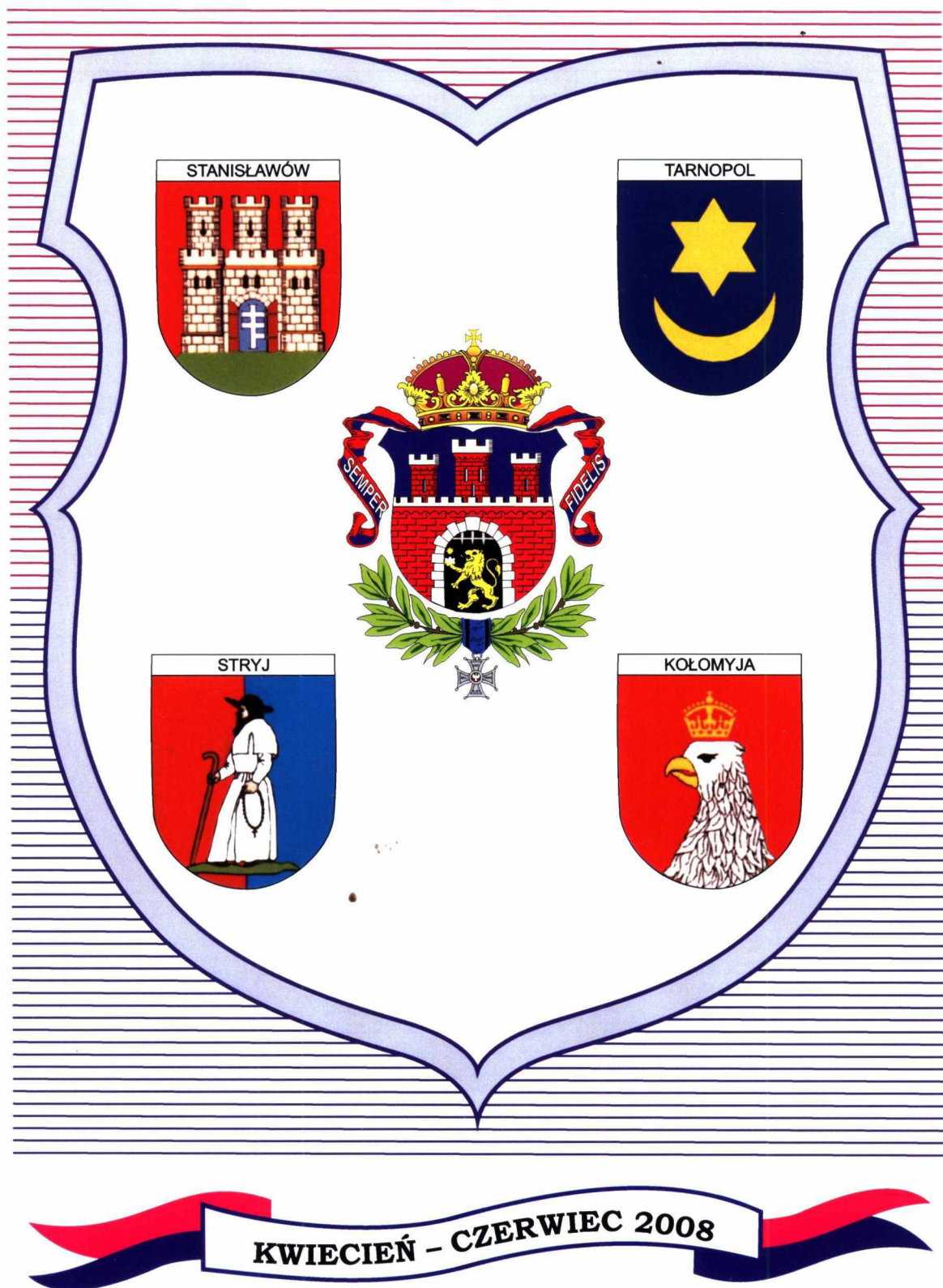




KWIECIEŃ - CZERWIEC 2008

Nr 49

**Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
ODDZIAŁ STOŁECZNY**

Biuletyn Informacyjny

KWARTALNIK IV-VI 2008 r.

Nr 49

Moje Miasto	Zbigniew Hebert	2
Lwowskie Sylwetki. O moim stryju Brunonie Prugarze	Anna Prugar	3
Ze wspomnień wychowanka lwowskiego korpusu kadetów	Feliks Janusz Podhorodecki ..	5
Portret z Cieniem. Wspomnienie o Adamie Hollanku	Anna Hollanek	8
Nasze lektury		13
Leopoliana – postery kresowe	Edward Kurkowski	14
Moje pierwsze spotkanie ze Lwowem	Jacek Gaj	16
Galicyjskie mecenaty. Dwa skarby hrabiego Skarbka	Eugeniusz Matula	21
Śp. dr hab. n. med. Waław Ogielski	B.K., W.R., E.M	23
Śp. ojciec gen. Adam Studziński	opr. D.B.Ł.	24
Zmarł hrabia Wojciech Dzieduszycki	Krzysztof Kucharski	25
Kronika	opr. D.B.Ł.	26
Odeszli	Opr. Łom.	27



Moje Miasto

ZBIGNIEW HEBERT

*Ocean układa na dnie
gwiazdę soli
powietrze destyluje
błyszczące kamienie
ułamna pamięć tworzy
plan miasta*

*rozgwieżdża ulic
planety dalekich placów
ogrodów zielone mgławice*

*emigranci w złamanych kaszkietach
skarżą się na ubytek substancji*

*skarbcę z dziurawym dnem
ronią drogie kamienie*

*śniło mi się, że idę
z domu rodziców do szkoły
wiem przecież którą idę*

*po lewej sklep Paszendy
trzecie gimnazjum księgarnie
widać nawet przez szybę
głowę starego Bodeka*

*chcę skrócić do Katedry
widok się nagle urywa
nie ma dalszego ciągu
po prostu nie można iść dalej
a przecież dobrze wiem
to nie jest ślepa ulica*

*ocean lotnej pamięci
podmywa kruszy obrazy
w końcu zostanie kamień
na którym mnie urodzono*

*co noc
staję boso
przed zatrzaśniętą bramą
mego miasta*

Lwowskie Sylwetki.

O moim stryju Brunonie Prugarze

ANNA PRUGAR

Lwów niestety nie jest moim rodzinnym miastem, ale od najmłodszych lat pamiętam, jak w domu wszelkie wspomnienia obracały się wokół Lwowa, z cichą nadzieją, że kiedyś powrócimy do tego najpiękniejszego z miast. Wyrastałam w atmosferze tych opowieści ale dopiero pod koniec lat 70-tych znalazłam się tam po raz pierwszy. I mimo zniszczeń, zaniedbania, brudu i ogólnej pauperyzacji poczułam, że jestem u siebie.

Rodzina moja ze strony ojca od pokoleń mieszkała w tym mieście. Dziadek mój Tadeusz Prugar miał we Lwowie przy ulicy Supińskiego 7 fabrykę, w której produkował m.in. narty. Przejął ją od swojego ojca a mojego pradziadka Marcina Prugara, który produkował tam drewniane drzwi i futryny okienne i nieźle prosperował, skoro prezentował swoje wyroby na Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie w roku 1894.



Legitymacja mojego pradziadka Marcina Prugara

Zdjęcia moich dziadków Filipiny i Tadeusza Prugarów z 1907 roku wykonane z okazji 10-lecia ich ślubu



Dziadek mój Tadeusz Prugar ożenił się z Filipiną Schirmer, pochodzącą także z rodziny lwowskiej od pokoleń osiadłej w tym mieście. Mieli dwie córki i czterech synów. Jednemu z nich chcę na tych łamach poświęcić więcej uwagi.

Brunon Prugar (1899 - 1970) urodzony we Lwowie, starszy brat mojego ojca Stanisława, dla mnie był zawsze Strykiem Brunkiem, postawnym mężczyzną, z nieodłącznym aparatem fotograficznym. Fotografowanie bowiem było do końca życia jego pasją. Ale naprawdę od najmłodszych lat zajmował go sport. Jeszcze w latach młodzieńczych zaczął intensywnie uprawiać lekkoatletykę, od roku 1916 reprezentował Pogoń Lwów.

Był dość wszechstronnym zawodnikiem, zarówno biegał na krótkich dystansach, jak i rzucał dyskiem czy pchał kulą. Równocześnie uprawiał narciarstwo w Sekcji Narciarskiej - Czarni Lwów. Z czasem jednak w pełni poświęcił się łucznictwu. Przy wspomnianym już Lwowskim Klubie Sportowym "Pogoń" założył Sekcję Łuczniczą, która w niedługim czasie stała się bardzo prężna. Równocześnie w wydzielonej części fabryki swego ojca rozpoczął produkcję łuków, strzał i sprzętu sportowego. Stał się też głównym sponsorem Sekcji Łuczniczej lwowskiej Pogoni. Bardzo intensywnie trenując, sam osiągał coraz lepsze wyniki w łucznictwie na zawodach krajowych i międzynarodowych.

Sekcja łucznicza i mój Stryj osobiście wygrywał i zdobywał najwyższe nagrody na wielu prestiżowych imprezach. Medale i odznaczenia, które nie zaginęły podczas wojennej ucieczki ze Lwowa, znajdują się obecnie w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie. Przekazał je tam - za moim pośrednictwem - jedyny syn stryja Wojciech Prugar, zmarły przed kilku laty we Wrocławiu. Wymienię zaledwie kilka z nich. W roku 1931 odbyły się we Lwowie Międzynarodowe Zawody Strzeleckie, gdzie Brunon Prugar zdobył III nagrodę, rok później na Strzeleckich Mistrzostwach Lwowa miał już drugie miejsce a w roku 1934 był zwycięzcą Mistrzostw Łuczniczych Okręgu VI Zrzeszenia Sportowego Lwów. Złoty medal otrzymał na X Narodowych Zawodach Strzeleckich odbywających się w 1935 w Warszawie, a w 1936 wygrał Mistrzostwa Łucznicze Lwowa. Trzykrotnie reprezentował Polskę na Mistrzostwach Świata w Łucznictwie, za każdym razem zdobywając medale: brązowe w Pradze (1936) i Paryżu (1937) a srebrny w Londynie (1938).

Równocześnie rozwijał i udoskonalał produkcję łuków. Sprzęt wytwarzany w lwowskiej fabryce na ul. Supińskiego był wizytówką polskich wyrobów sportowych na Światowej Wystawie w Nowym Jorku wiosną 1939 roku i został odnotowany w katalogu tej wystawy.

Drugim kręgiem zainteresowań mojego stryja była fotografia. Nie tylko dokumentował wydarzenia sportowe, uprawiał też fotografie artystyczną. Wiele jego zdjęć zostało wy-

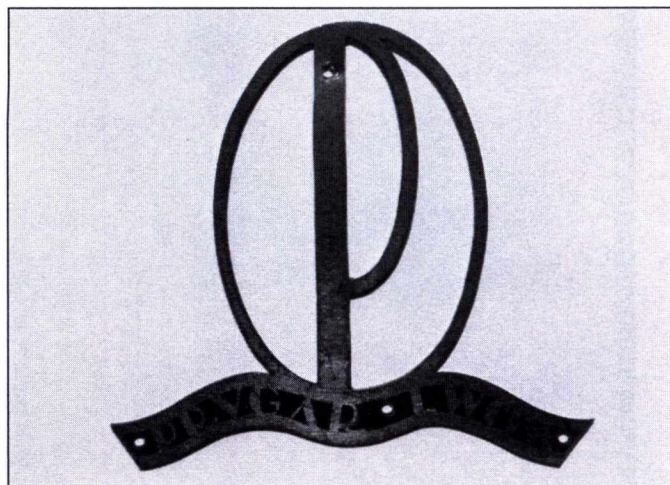


Bruno Prugar w koszulce reprezentanta Polski, na międzynarodowych zawodach reprezentował „Pogoń” Lwów

danych w formie pocztówek przez Książnicę Atlas a nastrojowe fotografie lwowskich zaułków i wnętrz kościelnych do dzisiaj urzekają swoim pięknem.

Wojna zniszczyła wszystko, wielopokoleniowy dorobek mojej rodziny, od wieków osiadłej we Lwowie. Sowietci wywieźli na Syberię moją ciocię Helenę z Prugarów Scheuringową z mężem. Dwóch stryjów walczących w kampanii wrześniowej przedostało się do armii polskiej we Francji a następnie do Anglii, gdzie zmarli po wojnie. Brunon Prugar ze swoją rodziną, żoną Władysławą z domu Kalicką i synem Wojciechem, po wielu tragicznych wojennych latach ostatecznie zamieszkał w Białymstoku-Białej i tam zmarł 20 grudnia 1970 roku. Pochowany jest na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, gdzie spoczywa w grobie rodzinnym razem ze swoją matką Filipiną z Schirmerów Prugarową i moim ojcem Stanisławem Prugarem.

Budynki fabryczne nadal stoją przy ul. Supińskiego we Lwowie, która obecnie nosi nazwę Kociubińskiego. Fabryczny dziedziniec oddzielony jest od ulicy dużą, żelazną bramą a w budynku, gdzie mieściło się biuro, kilka lat temu miał siedzibę oddział Ukraińskiej Akademii Nauk. Czy aktualnie jest użytkownikiem wspomnianego budynku, tego nie wiem, bowiem ostatni raz we Lwowie byłam osiem lat temu. To wspaniałe, polskie miasto, z wielowiekową historią naszego narodu zostało nam odebrane decyzją ludzi, którzy tak naprawdę nic o jego historii i tradycji nie wiedzieli. I gdy teraz tak wiele mówi się o pojednaniu z sąsiadami ze Wschodu i Zachodu a także o opracowaniu wspólnego podręcznika historii z Niemcami, proponuję jego autorom, aby pisząc rozdział poświęcony II wojnie światowej rozpoczęli tę narrację zdjęciami przedstawiającymi euforię z radosnego bratania się niemieckich i sowieckich żołnierzy w Brześciu. Wspólna defilada armii obu okupantów wymownie symbolizuje początek naszej narodowej tragedii.



Znak firmowy fabryki nart Prugara

Ze wspomnień wychowanka lwowskiego korpusu kadetów

Opracowanie to stanowi poprawioną i uzupełnioną wersję artykułu pt. „Lwowscy Kadeci” zamieszczonego w Nr 8 Biuletynu z marca 1998 r.

FELIKS JANUSZ PODHORODECKI



Autor w „tamtych latach”

Po 146 latach niewoli, jeszcze przed ostatecznym ukształtowaniem granic odradzającego się Państwa Polskiego - 31 października 1918r. powołana została pierwsza uczelnia wojskowa w Krakowie - Łobzowie. Początkowo uczelni tej nadano nazwę Szkoły Podchorążych, a na początku 1919r. została przemianowana na Korpus Kadetów.

W marcu 1921r. Korpus Kadetów, któremu nadano nr 1, został przeniesiony do Lwowa i zlokalizowany w sąsiedztwie Parku Stryjskiego, na terenie dawnej siedziby austriackiej szkoły oficerów piechoty.

Zgodnie z nadanym w 1919 r. statutem - zadaniem Korpusu Kadetów powinno być: "Wychowanie i wykształcenie obywateli przesiąkniętych duchem rycerskim", miłujących tradycje Wojska Polskiego, przejętych ważnością służby zbrojnej dla Ojczyzny o prawdziwym honorze, wyrobionym harcie i sile woli, poczuciu obowiązku i odpowiedzialnej samodzielności. Natomiast celem było wstępne przygotowanie kadry oficerskiej dla tworzonego Wojska Polskiego.

W okresie międzywojennym od 1921 do 1939r., studia we lwowskim Korpusie odbyło, zdając egzamin dojrzałości - 973 absolwentów, spośród których zdecydowana większość - ok. 95% - kontynuowała studia w szkołach podchorążych różnych broni. W momencie wybuchu II wojny światowej, stan osobowy wychowanków lwowskiego Korpusu Kadetów wynosił ok. 300.

Struktura organizacyjna Korpusu Kadetów była analogiczna do struktury organizacyjnej jednostek wojskowych. Ogół wychowanków stanowił batalion szkolny, podzielony na kompanie, zaś kompanie na plutony. Kompaniami dowodzili wysokokwalifikowani oficerowie, którzy jednocześnie byli wychowawcami, natomiast podoficerowie - przeważnie w stopniu starszego sierżanta pełnili funkcję szefów kompanii.

Zakres nauczania obejmował pełny program szkoły ogólnokształcącej o profilu matematyczno - przyrodniczym, poszerzony o zajęcia wojskowe - 6 godz. tygodniowo (3 x 2godz.) oraz letnie, jednomiesięczne, i zimowe obozy ćwiczebne.

Wykładowcami poszczególnych przedmiotów byli cywilni nauczyciele - nie rzadko stopnia akademickiego - legitymujący się nie tylko wysokimi kwalifikacjami profesjonalnymi, lecz również walorami pedagogicznymi.

Korpus Kadetów podlegał Ministerstwu Spraw Wojskowych, zaś nadzór pedagogiczny sprawowało Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Wyposażenie w pomoce naukowe, obiekty i sprzęt służące ogólnemu rozwojowi wychowanków, były systematycznie uzupełniane, zaś obiekty ulegały, szczególnie w latach trzydziestych - poważnej rozbudowie.

W rezultacie lwowski Korpus Kadetów dysponował: salami wykładowymi wraz z pracownikami specjalistycznymi, pracownikami i gabinetami naukowymi, aulą, czytelnią z bogato wyposażoną biblioteką, salą kinową i teatralną oraz - oczywiście komfortowo urządzonego internatem, oraz pełnowymiarowym boiskiem sportowym, a ponadto stacją meteorologiczną i radiotelegraficzną. Na terenie Korpusu była kaplica oraz izba chorych z pełnym wyposażeniem do hospitalizacji.

Wyposażenie i ogólna atmosfera wychowawcza, stworzyły warunki do wszechstronnego rozwoju wychowanków i podejmowania pozaobowiązkowych przedsięwzięć i inicjatyw. W tej dziedzinie odnotowania wymaga organizowanie między korpusowych zawodów sportowych we wszystkich dziedzinach, utworzenie teatrzyków w formie kabaretu, wydawanie czasopisma pt. "Orleń" oraz skomponowanie hymnu kadeckiego.

Sztandarem lwowskiego Korpusu Kadetów była chorągiew bojowa Powstańców 1863r., przywieziona z Ziemi Witebskiej do Lwowa przez Szymona Wizunasa - Szydłowskiego, którego postać wieńczy kopczyk na polu powstańców styczniowych na cmentarzu Łyczakowskim.



Odnaka Korpusu

mu w Krakowie, starszy sierżant awansowany po wojnie do stopnia porucznika - ANTONI HAAS.

Obecnie sztandar ten jest przechowywany w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa, a jedna z spośród trzech replik znajduje się w Izbie Pamięci Narodowej w Krakowie, przy ul. Biskupiej 18, druga replika przechowywana jest w Muzeum Czynu Powstańczego w Leśnicy pod Górą św. Anny, zaś trzecia uzupełnia zbiory Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Sztandar ten uznany został, na podstawie uchwały Krajowego Zjazdu Związku Kadetów II Rzeczypospolitej z dnia 17 kwietnia 1997 r. - Sztandarem Środowiska kadetów okresu międzywojennego.

Wychowankiem Korpusu Kadetów mógł zostać obywatel polski w wieku co najmniej 12 lat o nieskazitelnym rodowodzie. Warunkiem przyjęcia była pomyślna ocena zdrowia oraz złożenie z pozytywnym wynikiem konkursowego egzaminu wstępnego.

Wbrew rozpowszechnionym opiniom - Korpus Kadetów nie był uczelnią elitarną pod względem społecznym. O przyjęciu decydowały w pierwszym rzędzie wymienione czynniki, aczkolwiek ostatecznie w naborze kandydata brano pod uwagę zasługi rodziców dla uzyskania niepodległości Państwa, a także opinie z poprzednich szkół kandydata.

Umundurowanie kadetów było zróżnicowane głównie w dostosowaniu do okoliczności jego użytkowania. Powszechnie znanym i użytkowanym w czasie pobytu poza koszarami, był ubiór składający się z bluzy i spodni wełnianych w kolorze granatowym, rogatywki granatowej z żółtą wypustką, na której zamiast orła, umieszczono odznakę kadecką, tzw. słońce.

Bluza zapinana na pięć guzików z godłem państwowym, z naramiennikami, miała kołnierzyk - stojkę, obszyty srebrną lamówką. Otok czapki, kołnierz, naramienniki, mankiety rękawów, jak i zewnętrzny szew spodni obszyte były wąską wypustką koloru jasno żółtego. Dodatki stanowiły - pas z ozdobną klamrą, kołnierzyk typu żabot koloru białego, rękawiczki skórzane brązowe oraz buciki pełne, koloru czarnego z chromowej skóry i granatowe skarpety.

Na naramiennikach lwowskiego Korpusu, do marca 1933 r. umieszczona była cyfra jeden, jako porządkowa polskich korpusów, których było trzy. Natomiast od 17 marca 1933 r., po przyjęciu godności szefa lwowskiego Korpusu przez Marszałka Józefa Piłsudskiego, cyfra ta została zastąpiona stylizowanymi inicjałami JP, które umieszczono na naramiennikach bluzy i płaszcza. Od maja 1935 r. na znak żałoby po śmierci Marszałka, naramienniki bluzy i płaszcza obszyte zostały wąską, czarną tasiemką.

Dystynkcje, wskazujące rocznik studiów w Korpusie, umieszczane były na mankietach bluzy i płaszcza w formie pasków: dla pierwszego do czwartego rocznika - srebrnego w ilości zależ-

nej od lat studiów. Natomiast od piątego roku były one koloru złotego; 5 kompania - jeden, zaś 6 - dwa złote paski.

Starsi kadeci, wyznaczani spośród przodujących z dwóch najwyższych kompanii, pełniący funkcje instruktorów i opiekunów w dwu najniższych kompaniach, nosili na lewym rękawie bluzy i płaszcza naszywkę w kształcie litery V ze stylizowanym wpisem SK. Absolwenci Korpusu nabywali prawo noszenia odznaki Korpusu.

Analogiczny strój obowiązywał podczas uroczystości, apeli, defilad oraz w czasie pełnienia służby batalionowej, z tym, że "galowe" granatowe spodnie zastępowano dostosowanymi do owijaczy spodniami koloru stalowego, natomiast chromowe buciki - butami żołnierskimi.

Umundurowanie codzienne kadetów, w czasie pobytu na terenie koszar, składało się: z bluzy typu - luźne wdzianko z naramiennikami koloru khaki z cienkiego materiału wełnianego i takie same spodnie, buty żołnierskie.

Podobny mundur obowiązywał w czasie letnich ćwiczeń poza terenem koszar, z tym że rogatywkę zastępowano furazerką koloru khaki, zaś uzupełnienie stanowił pas z ładownicami i bagniet w pochwie. Broń palna (karabiny typu "mauser") otrzymywali dopiero kadeci trzeciej kompanii, a więc co najmniej 14-letni. W okresie jesienno - zimowym stosowano wełniane spodnie z owijaczami oraz płaszcze koloru stalowego.

Ograniczając zakres informacji tylko do mniej znanych okoliczności towarzyszących naszej historii, przedstawię tylko ważniejsze daty, które - niezależnie od świąt narodowych - obchodzili i obecnie obchodzą wychowankowie Korpusów Kadetów II RP.

11 XI - Święto Niepodległości - dzień, w którym nowopryjęci kandydaci, po odbyciu wstępnego stażu, składali przyrzeczenie i od tego dnia nabywali prawo używania tytułu "kadet", oraz noszenia dystynkcji kadeckich.

21 V - Rocznica zwycięskiej bitwy pod Gogolinem w 1921 r. w czasie III Powstania Śląskiego z udziałem kadetów. Dzień ten uznany został przez Marszałka Józefa Piłsudskiego jako święto lwowskiego Korpusu Kadetów.

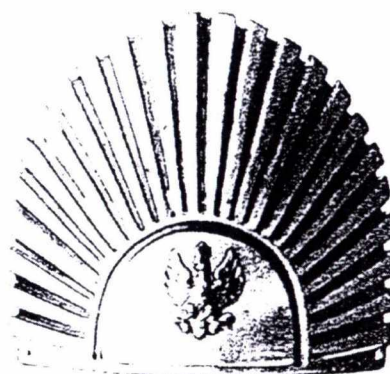
3 V - Uroczyste przekazanie w 1923 r. chorągwi bojowej Powstańców 1863r. Korpusowi Kadetów we Lwowie i uznanie tej chorągwi - Sztandarem Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie.

17 III - W tym dniu, w 1933 r., Pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski wyraził zgodę na przyjęcie szefostwa lwowskiego Korpusu Kadetów.

Od tego dnia lwowski Korpus Kadetów przyjął nazwę: KORPUS KADETÓW nr 1 MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO WE LWOWIE.

* * *

Znaczący w historii lwowskiego Korpusu Kadetów i w ogóle kadetów międzywojennego dwudziestolecia był ich udział w walkach o niepodległość naszej Ojczyzny.



Kadeckier „słońce”

W 1921 roku - po wybuchu III Powstania Śląskiego - wbrew zakazom władz - 120 kadetów, w tym 51 wychowanków lwowskiego Korpusu, nielegalnie opuściło koszary i ochotniczo wstąpiło w szeregi Powstańców Śląskich, walnie przyczyniając się do zwycięstwa Powstania.

W walkach poległo siedmiu kadetów, a kilkunastu odniosło rany na polach bitewnych. Dla upamiętnienia udziału kadetów w III Powstaniu Śląskim i w dowód wdzięczności społeczeństwa - Związek Powstańców Śląskich udekorował Sztandar lwowskiego Korpusu Kadetów Wstęgą i Krzyżem Śląskim, Opolski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa ufundował i wznosił na cmentarzu u stóp Góry św. Anny symboliczną mogiłę kadetów, poległych za polskość Śląska. 10. Śląski Pułk Artylerii Mieszanej w Kędzierzynie - Koźlu ustanowił patronem pułku, poległego w Powstaniu Śląskim, kadeta Zygmunta Kuczyńskiego, ustanawiając hymn lwowskiego Korpusu - hymnem tego pułku.

Na terenie tego Pułku, staraniem dowództwa, władz wojewódzkich, Wojewódzkiej Organizacji Żołnierzy Armii Krajowej z Górnos Śląskiego Klubu Związku Kadetów II RP, wzniesiony został pomnik, upamiętniający udział kadetów w III Powstaniu Śląskim - jako replika pomnika znajdującego się do września 1939r. w części parkowej lwowskiego Korpusu Kadetów. Odsłonięcie pomnika nastąpiło 20 maja 1996r. w 75. rocznicę bitwy pod Gogolinem.

W uroczystości uczestniczył w składzie delegacji Związku Kadetów II RP., jeden z uczestników Powstania, wychowanek lwowskiego Korpusu, Józef Rychłowski. Po rozformowaniu 10 Pułku Artylerii Mieszanej - pomnik przeniesiono na teren Państwowego Gimnazjum i Liceum w Kędzierzynie - Koźlu.

Ogłoszenie w przeddzień hitlerowskiej napaści na Polskę mobilizacji zastało lwowskich kadetów na urloпах na terenie całego kraju. Pomimo rozkazu zakazującego stawianie się w macierzystych Korpusach, przezwyciężając trudności komunikacyjne, część wychowanków zameldowała się w lwowskim Korpusie. Weszli oni w skład uformowanej z kadetów różnych roczników "Kompanii Kadeckiej", która 2 września 1939r. pod dowództwem por. Mieczysława Krzyńskiego została wcielona do 26. Pułku Piechoty, którego zadaniem była obrona zachodnich granic Miasta.

W świetle meldunków dowództwa tego Pułku, udział kompanii kadeckiej przyczynił się niejednokrotnie do odparcia hitlerowskich ataków na Miasto, uniemożliwiając jego zdobycie.

Pozostali wychowankowie lwowskiego Korpusu, w tym ci, którzy zameldowali się po wymarszu kompanii kadeckiej zgłaszali się masowo jako ochotnicy do różnych formacji w miejscu pobytu.

W czasie wojny wychowankowie lwowskiego Korpusu walczyli na wszystkich frontach, głównie w szeregach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, dokąd trafili bądź to w ramach uchodźstwa przez południową granicę po klęsce wrześniowej, bądź w ramach organizowanej przez gen. Władysława Andersa rekrutacji spośród deportowanych w latach 1940 - 1941 z terenów okupowanych przez wojska sowieckie, a także z niemieckich obozów jenieckich wyzwalanych przez armie sojusznicze.

Nieliczni kadeci uczestniczyli podczas wojny w szeregach I Armii Wojska Polskiego uformowanej na terenie Związku Sowieckiego.

W krótkim artykule trudno wymienić, bez uszczerbku dla pozostałych, choćby niektórych zasłużonych na polach bitewnych. Wspomnę więc tylko, że wśród nich znaleźli się bohaterowie ta-

kiego formatu, jak gen. Witold Urbanowicz, wychowanek lwowskiego Korpusu, legendarny dowódca dywizjonu 303.

Równolegle do walczących kadetów na wszystkich frontach, wychowankowie lwowskiego Korpusu uczestniczyli aktywnie w podziemiu niepodległościowym na terenach okupowanych, a także w obozach jenieckich, przeważnie w szeregach Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Udział kadetów w Ruchu Oporu był powszechny.

Również w szeregach "cichociemnych", desantowanych z Zachodu na tereny okupowane, znaleźli się kadeci. Według opracowania wychowanka lwowskiego Korpusu, Eugeniusza Boumiłło, wśród ogółu 317 "cichociemnych" desantowych w latach 1941 - 1944, było 25 kadetów, w tym 10. z Korpusu lwowskiego.

Skalę zaangażowania kadetów w podziemiu niepodległościowym i walkach frontowych określa też m.in. liczba poległych i pomordowanych przez okupantów.

Według niepełnych danych uzgodnionych z Instytutem Kатыńskim w Krakowie, zawartych w opracowaniu wychowanka Korpusu lwowskiego, Stanisława Łodygowskiego, pt. "Kadeci II RP walczyli i ginęli za Polskę", liczba ta wynosi 532 poległych w bitwach i pomordowanych w katowniach Gestapo i NKWD. I co jest hańbą powojennych władz PRL przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych - w więzieniach UB.

Wśród akcji niepodległościowego podziemia z udziałem kadetów, na szczególną uwagę zasługuje ich udział w Powstaniu Warszawskim, największej bitwie II. wojny światowej.

Według niepełnych i stale uzupełnianych danych Związku Kadetów II RP, w Powstaniu uczestniczyło około 110 kadetów, w tym połowa to wychowankowie Korpusu ze Lwowa, walczący niejednokrotnie na funkcjach dowódczych.

Dla uczczenia pamięci poległych i pomordowanych w II. wojnie światowej, wmurowane zostały, staraniem środowiska Kadetów w Kraju i na Obczyźnie, tablice pamiątkowe: w Archikatedrze Warszawskiej oraz w kościołach - św. Marcina i św. Jacka w Warszawie, a także na murach TWIERDZY MODLIN dla upamiętnienia udziału kadetów w BITWIE WARSZAWSKIEJ.

* * *

W okresie po II wojnie światowej powstały trzy organizacje zrzeszające wychowanków międzywojennych Korpusów Kadetów:

- działający na Obczyźnie od 1945 roku z siedzibą w Londynie oraz oddziałami w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, Kanadzie i Australii pod nazwą "ZWIĄZEK KADETÓW 1918 - 1939", dawniej "ZWIĄZEK LWOWSKICH KADETÓW MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO", który w ostatnim okresie zawiesił działalność z uwagi na podeszły wiek członków;

- "ZWIĄZEK KADETÓW II RZECZYPOSPOLITEJ" z siedzibą w Warszawie oraz oddziałami zwanymi Klubami w Gdańsku, Krakowie, Poznaniu, Warszawie i Wrocławiu oraz

- KLUB KADETÓW WETERANÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ z siedzibą w Warszawie.

Celem tych organizacji jest utrzymywanie więzi pomiędzy wychowankami międzywojennych korpusów kadetów i ich rodzinami, kultywowanie tradycji dawnych Szkół Rycerskich i międzywojennych Korpusów Kadetów, a także wzajemna pomoc koleżeńska.

Portret z Cieniem. Wspomnienie o Adamie Hollanku

ANNA HOLLANEK

Moje życie, jak pewnie każdego, komu umarła najbliższa osoba, dzieli się na dwie części. Na to "za życia taty" i tak zwane "życie po nim". Kiedy dziś, po dziesięciu pełnych latach od śmierci Adama Hollanka, mojego ojca, myślę o nim, zastanawiam się jak bardzo jest obecny w tym moim egzystowaniu. Do jakiego stopnia żyjemy wspomnieniami, jak bardzo chcemy by były ciągle, mimo nieuchronnej galopady czasu, wyraziste, ostre a nie rozmyte.

Jak opisać, jak opowiedzieć mam o tacie? Jak pokazać ukochaną i zarazem wybitną osobę w takim świetle jak chciałoby się, żeby inni ją widzieli, ale i tak, jak on sam chciał naprawdę żeby go pojmowano?

Uciekam na sentymentalne wycieczki w przeszłość i ciągle odnoszę je do chwili obecnej. Często, ale po dziesięciu latach, już nie codziennie. Chciałoby się dostać nagle komunikat zza światów, od kochanego zmarłego, wytyczne i wskazówki niezbędne do recenzowania i opisywania jego postaci: twórcy, pisarza, poety, lwowiaka, fantasty, miłośnika Tatr, niepoprawnego, może jednego z ostatnich romantyków naszych czasów. Ale komunikat nie nadchodzi wyraźny. Trochę nieskładnie płynie z głowy mej własnej i z pamięci coraz bardziej wybiórczej. Są

czy się i kreśli nie do końca jednoznaczny, trochę chaotyczny, sentymentalny a jednak dość wierny, portret.

Moje sentymentalne wycieczki często kończą swój bieg we Lwowie. Przesiąkłam do cna tym miastem, choć nigdy tak naprawdę nie było moje. Dziś właściwie niemal uzurpuję sobie prawo do bycia jego obywatelką oczywiście sentymentalną i niemal bajkową. W dziesiątą rocznicę śmierci taty, zaraz po pierwszej rocznicy śmierci kochanego Jurcia Janickiego, długie lata po śmierci Tola Szolgini i Andrzeja Hiolskiego, Iwy Młodnickiej, Jania i Zosi Ernstów, Dzidzia i Zosi Matusiaków, kochanego księdza Janusza Popławskiego, który mówił do mnie "skarbk", patrzę na zdjęcia z ich spotkań, płaczę nad nimi i przypominam sobie ich lwowskie bajanie i bałakanie, ich lwowskie wspomnienia, które automatycznie stają się i moimi. Bo takie do cna lwowskie było to moje dzieciństwo jak ich całe życie, naznaczone nim i skażone po grobowe deski.

„Tyle jest światów ile jednostek myślących" napisał w Alchemii Słowa Parandowski, jeden z ukochanych pisarzy taty, z którym kiedyś poznał się osobiście, ale niestety nie blisko. A niemal nadarzyła się ku temu znakomita okazja. Parandowski był przyjacielem Tola Szolgini, znakomitego Lwowiaka,



Spotkanie lwowskie 1.1.1991 r. w domu Hollanków. Na zdjęciu od lewej: Adam Hollanek, Witold Szolginia, Jerzy Janicki, Andrzej Hiolski, Krystyna Janicka, Wanda Szolginia i Ewa Hollanek

znawcy swojego miasta i ukochanego przyjaciela taty a dla mnie po prostu wujcia. Niestety, kiedy Tolo zasilł grono najbliższych przyjaciół rodziny, Parandowski właśnie umarł. I na spotkaniach lwowskiej hebry, zjawiała się już tylko parę razy pani Irena Parandowska. A na tych posiedzeniach nad stołem unosił się duch ich kochanego miasta, które łączyło za życia i, choć to brzmi ogromnie patetycznie, myślę, że i po śmierci.

I zupełnie pasuje mi do tego wizja z "Mrzonki" Janusza Majewskiego, wg monodramu Słonimskiego: stary Żyd opowiada o cudzie, kiedy nagle na ulicach Warszawy zjawiał się cielesny Jezus Chrystus. A po śmierci, opowiadał żyd, wsiada się do pociągu, żeby na końcowej stacji zajeżdżał na przedwojenny peron gdzie stoją i czekają wszyscy nasi zmarli bliscy. Zmarli bliscy Lwowiacy w zaświatach chodzą po ulicach dzieciennego kochanego miasta. Mrzonka...

Kocham moje miasto

Śpiętrzone jak ręce

Ku niebu wzbite

Do modlitwy

Kocham je za to

Że mnie przytłacza

Dociska do ziemi

Pod którą biją

Miliony serc

Dawno umarłych

Kocham te kopce

Od duchów zgęstniałe

Tu nie da się

umrzeć bezkarnie

O Lwowie z taty dzieciństwa i młodych lat, słuchałam od kąd mogę sięgnąć pamięcią. Otoczona opowieściami o tym mieście potrafiłam wyrecytować z pamięci lwowskie kościoły, ważniejsze place i ulice. Nie mogłam jeszcze jako mała dziewczynka pojąć jak to może być, że świat tak żywy i autentyczny z przedwojennych relacji, przestał po prostu istnieć. Rozmył się w niebycie pozostając tylko zlepkim wspomnień, które na "lwowskich" spotkaniach w Warszawskich mieszkaniach w ustach różnych "lwowskich wujciów" nabierały na chwilę realnego kształtu. To Lwowskie Kasyno Literacko-Artystyczne, szumnie nazwane w taty dziennikach, uformowało się jakby przypadkiem i w zaciszu domostw znacznych lwowiaków, którzy połączeni wspólną pasją, odnaleźli się w bezdusznej Warszawie lat kryzysu i cenzury by powracać "cudem na ojczyzny łono". Ojczyzny polskiego jeszcze Lwowa, choć w PRL-owskich paszportach wszyscy oni, i tata też, mieli napisane miejsce urodzenia: ZSRR.

Lwowska brać przez długie lata spotykała się w różnych domach prywatnych nieformalnie i po przyjacielsku, kiedy temat Lwowa polskiego, jak i Katynia, Kozielska, Ostaszkowa, Starobielska i inne stanowiły "białe plamy" i głośno mówić o nich nie było wolno. Ja siedziałam pod stołem i słuchałam. Rosłam z tymi Lwowskimi gawędami, a do snu kołysały mnie ballady Michotka i przez pewien czas kilkugodzinna rejestracja "Wesołej Lwowskiej Fali" po kryjomu zdobyta, nagrana na taśmę i kopiowana dla przyjaciół przez Janickiego. Przemawiał do mnie Hemar, Tońcio i Szczepcio, śpiewała rzewnie Włada Majewska. Nie wiedziałam jeszcze, że kiedyś za sprawą tych

lwowskich bająn przyjdzie mi poznać i Tońka i Władę Majewską osobiście.

Nad stołami wzniosłe wspomnienia o kochanym mieście a na stole kryzysowe kanapki z bagietki z pastą rybną, ciasteczka z płatków owsianych i... dobre wino przyniesione nie wiadomo skąd przez wujcia Andrzeja Hiolskiego. Hiolski-słynny polski baryton, przyjaciel taty jeszcze z czasów lwowskich. Podobno spotykali się na potańcówkach, na które Dzidek przychodził zawsze w operowym, białym szaliku i już wtedy łamał na potęgę serca lwowskich dziewcząt. Przystojny bardzo tajemniczy, pamiętam go znakomicie. Bywał często w naszym domu, zawsze niezmiennie elegancki, szarmancki w stosunku do kobiet; nigdy, nawet w środku zimy nie pozwolił sobie na przyjście do nas bez kwiatka dla Pani domu i bez butelki zanego wina. Tata zawsze o niego był trochę zazdrosny, znając spustoszenie w kobiecych sercach, jakie czyniły jego urok, szyk i cudowny głos, znany w La Scali i Metropolitan. Ja lubiłam go najbardziej na luzie w białym golfie i w sportowej marynarce kiedy z tajemniczym uśmiechem pojawiał się i od drzwi wołał "Hal-lo". Nie dawał się namówić na domowe śpiewanie. Raz tylko nagrałam na magnetofon kiedy wygłupiali się we dwóch z tatą, który sam miał baryton tylko "nie szkolony", śpiewali popisową arię Miecznika ze "Strasznego Dworu". Nagranie, tak cenne teraz, kiedy obaj nie żyją, niestety zaginęło bez wieści.

Inny taty przyjaciel - znakomity chirurg Marian Gubrynowicz, także z lwowskim rodowodem, który bywał w naszym domu kiedyś często, siadywał u nas rano na czerwonym fotelu, tata na drugim i rozmawiali do późnego wieczora. Poznali się przypadkiem na warszawskim ostrym dyżurze w szpitalu na Solcu i zgadali o Lwowie. Mariańcia pamiętam jako osobę uśmiechającą się ale nie śmiejącą się. On przyniósł tacie pewnego razu książkę na wagę złota, Tola Szolginia "Dom pod Żelaznym Lwem", rzeczywiście lwowską. Tata szybko zrobił sobie z niej osobistą biblię i wcale Mariańciowi oddać jej nie chciał. Potem zdobył cudem swój egzemplarz i na półce od tamtych czasów stoją dwa, Mariańcia i nasz.

Tolo Szolginia chodził do tego samego liceum co tata we Lwowie i mieszkał parę budynków dalej, na Łyczakowie. Za czasów szkolnych otarli się o siebie ale nie zaprzyjaźnili. Nie udało się to również, kiedy wiele lat potem razem odbierali nagrodę naukową im. Winawera. Dopiero po "Domu pod Żelaznym Lwem" tata postanowił Tola namierzyć. Znalazł go po prostu w książce telefoniznej, zadzwonił i tak wybuchła żarliwa przyjaźń, która, jak sami opisywali, nie mogła być bardziej dobroduszna, głęboka i prostolinijna. Kochali się oni, grastka lwowiaków, miłością braterską, bez wzajemnych zazdrości i bez szczególnych niesnasek, dyskutowali, wspominali, łazili na wirtualne spacer po mieście dzieciństwa, które przecież teraz zmienione, w ich pamięci pozostało niewypaczone i wyidealizowane, przede wszystkim polskie do cna. Tolo poważnie podchodził do wszystkiego. Zdawało się, że nie znał się na żartach. On jeden jako architekt, znał i pamiętał z fotograficzną, niezmaconą zębem czasu pamięcią, każdą ulicę, pomnik, każdy kościół, zaułek. Potrafił z kamienną twarzą nagle opowiedzieć bardzo sprośną anegdotę, która niemal do jego dostojności, zza grubych okularów, nie pasowała. Konali ze śmiechu wszyscy, bez wyjątku. Drażnili się z Tolem poważnym. A najgłośniej zawsze śmiał się i całkiem po lwowsku bałakał Jurek

Janicki, kolejny "wujcio", dowcipny i wesoły do granic możliwości. Klótnie wybuchały czasem zażarte tylko o. ulice. Nigdy nie mogli zgodzić się do końca, co gdzie było i jak to było.

Na każdym spotkaniu u nas sprzeczali się bez pamięci o jeden widoczek ze zdjęcia, które wisi na ścianie "lwowskiej" w naszym domu, zawieszona zresztą po suficie obrazkami i grafikami z widokami miasta. Tata uratował je cudem z pożogi wojennej z grastką innych rodzinnych starych zdjęć, niektórych jeszcze na twardej tekturce w eleganckimi sztylami na odwrocie. Owo sporne zdjęcie przedstawia śliczną kamienicę, dwa stare przedwojenne tramwaje i śmieszny tłumek panów z wąsami i w melonikach. Ja najbardziej zawsze lubiłam stojącą na pierwszym planie dziewczynkę w białej sukience z kokardą, czekającą ze swoją mamą w długiej sukni w gorsie na jeden z nadjeżdżających tramwajów. "To jest róg Halickiej, Jureczku, jak ci mówię" - wykrzykiwał tata. Ja się nigdy nie myłę". Jurek zaś upierał się, że są to albo Wały Hetmańskie albo Akademicka albo inna jeszcze ulica i nigdy z tatą zgodzić się nie chciał. Temat ucinano, aż do samego wyjścia gości, kiedy tata jeszcze raz stawał przed zdjęciem i mówił pod nosem. "To jednak jest Halicka, eppur si muove!".

Na lwowskich spotkaniach bywały same znakomitości. Oprócz stałego grona: Hollanki, Janiccy, Szolgoniowie, Hiolski; bywał Michotek, ze swoimi balladami i gitarą, którego cała Polska oglądała wówczas w roli Adaśka-Lwowiaka w "Domu" Janickiego. Bywał Duduś Matuszkiewicz, słynny jazzmen i kompozytor, pokazywał unikatowe filmy z przedwojennego Lwowa, które nakręcał jego ojciec z rzadkiej wówczas prywatnej kamery i bywał także nieprzeciętnie dowcipny, opowiadający skecze znakomity profesor biologii Dwidzio Matusiak z żoną Basią o najłagodniejszym spojrzeniu, jakie kiedykolwiek widziałam i... z nieodłącznym papieroskiem. Do mojego pianina albo, chętniej, do swojego fortepianu zasiadał profesor Janio Ernst i grał i śpiewał rzewne piosenki historycznego, przedwojennego chóru Eriana, który niegdyś sam założył i prowadził. Była i jego żona Zosia Ernstowa, znakomita tłumaczka z języka włoskiego, mój na tym polu ideał i niedościgniony wzór. I innych lwowiaków cała masa: ks. Janusz Popławski, nasz lwowski kapelan, który dał moim rodzicom ślub, Władzio Heydel z zacnej hrabiowskiej rodziny i aktorka Iwa Młodnicka, prawnuczka Wandy Monne i córka znakomitego aktora Artura Młodnickiego, Barbara Dunin w duecie ze Zbigniewem Kurtyczem od "Cichej wody" i wielu innych opisanych i we wspomnieniach taty "Ja z Łyczakowa" i u Janickiego w serii "Cały Lwów na mój głów" i jego kontynuacjach.

Już w czasach jawności po 1989 r. przyjmowaliśmy w swoich domach słynnego komika Lwowskiej Wesołej Fali, Tońcia, Antoniego Vogelfaengera z najzabawniejszego przedwojennego duetu Szczepcia i Tońcia, który zaczął na nasze zaproszenie przyjeżdżać z Londynu i na spotkaniach opowiadać o tamtym Lwowie, którego już dawno "ni ma.". A słuchaliśmy jak czarowani i te nagrania jeszcze się zachowały. Mały zasuszony, łysy staruszek w okularach, w krawacie i garniturze, w niczym na pierwszy rzut oka nie przypominał batiara z przedwojennych komedii. Ale gdy zaczynał "bałakać" i opowiadać, tamtem świat stawał nam plastycznie i namacalnie przed oczami, z nim w roli głównej, otwierając puszkę Pandory z duchami i całym obliczem minionej epoki, o której tata opowiadał, idealizując i koloryzując do granic przyzwoitości. Po swojemu, po literac-

ku. O czasach jego ołowianych żołnierzy, których nie mogłam sobie wyobrazić, czasach kakao w Parku Stryjskim, eleganckich panów, którzy jak mój dziadek nigdy przy kobiecie nie pozwolili sobie na zdjęcie marynarki, choćby w 30-stopniowy upał, wczasów w Worochcie, gdzie moja piękna babka miała płomienny, skrzętnie ukrywany, burzliwy romans z pułkownikiem straży granicznej, o czasach wyjazdów do wód, sztyfonowych sukien, Gombrowicza, Witkacego i Żeromskiego.

Na spacer do Parku Stryjskiego i na Wysoki Zamek chodził tata jako młody chłopak ze swoim małym marudnym bratem stryjecznym, Jureczkiem, za rękę. W zawierusze wojennej z Jurkiem i jego rodzicami kontakt się urwał. Potem okazało się, że są w Ameryce. Jakiś czas pisali, ale potem znów cisza. Stryj i stryjanka w tej Ameryce umarli a Jureczek zapadł się pod ziemię. Aż nagle w 1990 roku - telefon. Halo, tata musiał z wrażenia aż przysiąść. Dzwonił Jurek z Ameryki. Już na emeryturze. Wcześniej pracował w wywiadzie amerykańskim w Pentagonie i kontakty z Polską były niewygodne i zakazane dla niego, a niebezpieczne dla tych, co w kraju. Okazało się, że odnalazł taty książki w bibliotece Pentagonu., gdzie z godną podziwu amerykańską skrupulatnością śledzono, co działo się za żelazną kurtyną. Książki opieczętowane w Pentagonie są dwie: "Niewidzialne armie kapitulują", wbrew wyrotowemu tytułowi, rzecz o ... bakteriach i medycynie. Druga: "Bandyci i policjanci"- beletrystyka, opowiadania. Nawet nie kryminalne, bardziej po Hollankowemu, psychologiczne, niejednoznaczne i skomplikowane. Jurek w każdym razie przez wydawnictwo do nas wtedy dotarł i pewnego popołudnia zadzwonił. Ma on w tej Ameryce dziesięcioro dzieci i one już mają dzieci. Podczas gdy w Polsce ród Hollanków ubogi i już prawie żaden, wyschnięty. W Ameryce jest nas całe mrowie tyle, że przez jedno L pisanych - dla ułatwienia.

Jeszcze cudowniej odnalazła nas nasza ciocia, a taty kuzynka ze strony matki, Ewa Jędruchowa. Kupiła w New Jersey w polskiej księgarni lwowski przewodnik sentymalny autorstwa Ewy i Adama Hollanków. Tata pisze tam o inżynierze budowniczym, co postawił kościół św. Matki Boskiej Ostrobramskiej we Lwowie a był jego zycznym wujem. Jędruchowa czyta i własnym oczom nie wierzy. Ten wuj autora, budowniczy, to jej własny dziadek. A więc Hollanek - to jej bliiski kuzyn. Kochana ciocia przyjechała do nas do domu i opowiedziała jak nas znalazła cudem. Była w Polsce akurat na obchodach kolejnej rocznicy zbrodni katyńskiej. Tam właśnie zamordowali jej ojca. Jej mama szmuglowała ją przez zieloną granicę, tułały się długo po świecie aż, jak wielu Polaków, trafiły do Argentyny. Potem jeszcze trafiła do Stanów. A gdyby nie tamten taty przewodnik sentymalny, nie wiedzielibyśmy o swoim istnieniu.

Cała lwowska codzienność pojawia się w dzienniczkach ołówkiem i dziecinna ręką spisywanych przez tatę jeszcze przed wojną, w ciemnych poszarpanych zeszytach, gdzie pełno informacji skrobał zaszyfrowanym pismem. Po latach jemu samemu zrozumieć je było ciężko. Opowiadał nam dużo a wszystko to przyjmowało w mojej wyobraźni istic bajkowe kształty. Pamiętam bardzo dobrze jedną z moich ulubionych historii, wcale już nie ze Lwowa, o straszliwej powodzi w Zakopanym w 1934 roku, w czasie której przypadkiem znalazł się jako dzieciak z mamą i bratem Jerzykiem. Ja kazałam sobie opowiadać milion razy, jak Krupówkami płynęła rwąca rzeka pełna mebli różnora-

kich a między nimi rzeźbiona góralska kołyska i żywa lub już martwa krowa.

Ta katastrofa przypominała mi się w czasie pobytu w Zakopcu w 1998 roku. Tata, sercowiec, pod Giewont nie powinien był jeździć wcale, ale kochał to miasto niemal jak Lwów i nic nie robił sobie z zakazów lekarzy. Tam co roku czasem kilka razy, i na wiosnę i latem i jesienią, piękną tatrzańską, jeździliśmy zapamiętane. Czasem z Janickimi, czasem z Adrjańskimi bywaliśmy w Zaiks-owskiej "Halanie" albo w Domu Literatów "Astorii". Spotykaliśmy się z twórcami naszych czasów: m.in. Maciejem Słomczyńskim, Michałem Ronikerem. Siadywał przy naszym stoliku stareńki Władysław Szpilman, i opowiadał swoje wojenne losy, oddane przez Polańskiego w "Pianiście". Był z nowocześniejszych twórców i Jacek Cygan i wielu innych.

Chodziliśmy odwiedzać Andrzeja Bachledę, serdecznego przyjaciela z dawnych lat, wspaniałego narciarza i znakomitego... śpiewaka i dobrego zakopiańskiego lekarza, przyjaciela Leszka Allerhanda. Przyjeżdżał także Aleksander Watt i chadzał na wycieczki z moją przyrodnią siostrą Terenią. Bywał na letnich wakacjach, Jurek Hordyński, lwowiak oczywiście, poeta i wieloletni korespondent polski z Rzymu, który był zabawny i kompletnie bezceremonialny w swoich opowieściach z wiecznego miasta. Opinię miał od zawsze żarliwego kobieciarza. Przed laty w słynnej Astorii zjawiał się z coraz to nową kochanką. Opinia w pełni zasłużona, bo umiał on do najświeższego wieku, kobiety po prostu omotać. Oprócz opowieści o jego niezliczonych podbojach miłosnych, znakomitych poezjach, mówiło się również, pewnie niesłusznie, że był skąpy potwornie, do tego stopnia by autostopem jeździć z Rzymu do Neapolu, bo tam był najtańszy fryzjer.

"To jest, słuchajcie, mój najlepszy garnitur. Ładny, co? Firmowy, nowy prawie". Opowiadał, że w Rzymie dawał się zapraszać przez świeżo owdowiałe, bogate panie z socjety, mamił je zabawnymi historyjkami, ujmował swoim czarem. A one same otwierały te przepastne... szafy i mówiły mi: bierz co chcesz. To brałam. Same porządne garnitury. I co z tego, że po umarlakach."

Podobno, w czerwcu dziesięć lat temu (już dziesięć!) został zaproszony na obiad do dobrych znajomych. Rzym, powietrze upalne, cudne włoskie lato. Najadłszy się do syta, poprosił gosodarzy żeby dali mu się na chwilę położyć po obfitym żarciu. Zaległ na jakiejś gościnnej kozetce i wyzionął ducha. Wiadomość o jego śmierci zastała nas tuż przed kolejnymi wczasami w Astorii zakopiańskiej, gdzie nie dane nam już było się z nim spotkać.

Lato 1998 najpierw we Włoszech a potem na tych wycieczkach i wymarzonych, corocznych wczasach w zakopiańskiej Astorii, w której bywał od zawsze, od młodych lat, a przed nim same znakomitości z Otwinowskim i Magdaleną Samozwaniec na czele. Lato piękne i słoneczne, nie upalne, ciepłe i łagodne. Jak to włoskie niemal. Idealne po prostu. Beztróskie, aż podejrzane. Jak w szeroko otwartym oku cyklonu.

Szedł tego lata mój tatko do Doliny Strążyskiej z mamą i maleńkim, czteroletnim wówczas wnuczkem Tomeczkiem. Nie miał siły dojść do końca.

"Idźcie sami dalej pod Siklawę, ja tu siadę na kamieniu i poczekam na was, poopalam się". I zostawili go na przydrożnym głazie, siedzącego z twarzą do słońca i wspominającego dawne

zakopiańskie czasy, kiedy na jednym oddechu wbiegał na Kasprowy by z niego na kandaharach zjeżdżać cały dzień telemarkiem. Kochał te nasze "górkę", jak mówił o nich sam, bo czymże innym były, gdyby przyłożyć je do masywnych Alp. Nim mama z Tomeczkiem zdążyli dobrze przyjrzeć się wysokiej Siklawie, tata, zdyszany, zaskoczył ich od tyłu. Nie wytrzymał siedzenia na kamieniu w połowie drogi i pobiegł za nimi. Musiał, jak niegdyś przed laty, dojść do końca i zobaczyć ukochany wodospad. "Może ostatni już raz w życiu?" wyszeptał. Oko cyklonu wtedy zaczęło się zamykać.

Staliśmy wszyscy, cała rodzinka w Zakopcu na polance za Bąkową, przy ul. Piłsudskiego, już prawie przy samej skoczni, skąd piękny widok na Giewont rozciąga się dostojnie i wspaniale. Tato! - łąziłam wówczas z kamerą i nagrywałam ten rodzinny spacer- odwróć się z profilu. I nagrałam taty orli, smukły nos a potem zaraz zbliżenie na Śpiącego Rycerza z takim samym, garbatym, smukłym nosem.

Tego dnia tata odwoził mnie i naszą jamniczkę na pociąg do Warszawy. Decyzję o wyjeździe z Zakopanego podjęłam nagle, bez powodu i bez sensu. Nic nie czekało na mnie w Warszawie. Czułam dziwną, nieczym niewytłumaczoną powinność powrotu do domu, do Warszawy. Pamiętam doskonale, jak tata odprowadził mnie do samego pociągu, ścisnął i jeszcze to, jak chwilę przed odjazdem złapaliśmy się za ręce, ja uwieszona w wąskim pociagowym oknie. Jak tej jego ręki puścić nie chciałam, jak Fanta szczekała z głębi przedziału i jak krzyczał za mną "Trzymaj się, trzymaj się! Pa Aniusiu, trzymaj się!".

Umarł tej nocy. Na zawał straszliwy i nie dający mu żadnych szans. Dziwny halny przywiał złe powietrze, zawirował ciśnieniem i tym dziwacznym zakopiańskim klimatem. Mama zadzwoniła, żebym wracała. Wylałam, a ze mną strasznie boleśnie wylał nasz pies. Wracałam w rozpacz takim samym pociągiem porannym z Warszawy do Zakopanego, gdzie czekał na mnie pobyt w zakopiańskiej kostnicy, wybór trumny, akt zgonu i ten sam kamienny, śpiący na wieki Giewont z nosem mojego taty. Śniło mi się jeszcze w tym pociągu, że to mi się zdawało i że on wyjdzie po mnie na dworzec i tak jak dzień wcześniej mnie żegnał, tak teraz przywita. A potem ocknęłam się i zdałam sobie sprawę, że teraz właśnie już nieuchronnie zaczyna się życie "po nim". Po moim tacie. Cały jego świat skończył się wraz z tą zakopiańską katastrofą. I zobaczyłam go wtedy jak tonie, razem z tamtą, rzeźbioną góralską kołyską i martwą krową i innymi meblami i całą moją miłością, która wylewała się ze mnie jak ta przedwojenna zakopiańska powódź z jego dziecinnych dzienniczek.

*Patrz ulice jak świsty
Przedzierają powietrze
Trawy i drzewa
Główną aleją
Tamtągi świata mkną
Wysadzaną po bokach
Oczami jak topolami
Stara Akademicka
We lwowie*

*Wszystko odejdzie
I wszystko się zapomni
Lękamy się tylko*

*Zapomnieć siebie
Jeszcze stoję
Na jednej nóżce
Tej ziemi
Bocian nad bagnem
Lecz ledwo trwam
Romantyk rzeczy codziennych*

Adaśku... Nasz tata. Kronikarz szczęśliwej codzienności. Piewca rzeczy zwykłych, orędownik domowych pieleszy, poeta nieskomplikowanych uciech, miłośnik chwili. Choć wisiała nad nim i nad nami wszystkimi nieodłączna wizja katastrofy, zagłady, apokalipsy i śmierci, mimo skomplikowanego, czasem cholerycznego charakteru, lekkiego wyuzdania duszy i ciała i swojej osobistej oryginalnej moralności, czasem prostopadłej do innych a czasem zakrzywionej i dziwnej, potrafił jakby na przekór, a my razem z nim pod jego wyraźnym przewodnictwem, cieszyć się i bawić w najlepsze wspólną codziennością i naszym życiem.

Spisane jest ono w jego dzienniczkach, których pełna komoda stoi w jego, a teraz moim, gabinecie. Zamknęłam pod klucz tę naszą przeszłość razem z jego okularami i paroma innymi błahymi przedmiotami, których ze zwykłego ludzkiego sentymentu nie potrafiłam wyrzucić na śmietnik. Jak te po nim skarby, kolekcjonuję tak samo dziś własne wspomnienia w kolejnych dzienniczkach, zapelniając inną już komodę. Przybrałam szatę rodzinnego kronikarza, po ojcu, i notuję. Po co? Z wyuczonej, wkutej na blachę rodzinnej potrzeby nie wyrzucania na pastwę zapomnienia małych zdarzeń dnia codziennego? Zachowuję je, by potem odtwarzać dowolnie i radować nimi po fakcie. Stanowią dla mnie, jak kiedyś dla niego, pamiątki osobiste, jedyne w swoim rodzaju, w większości nie nadające się do wglądu dla niewtajemniczonych, a przez najbliższych jak najkochańsze i najcenniejsze skarby, zamknięte w inkrustowanej szkatułce, co jakiś czas wyciągane na światło dzienne, obracane w rękach, podziwiane i z powrotem zazdrośnie ukrywane. Tata pisał o tej potrzebie parę lat przed swoją śmiercią tak:

"Mnie się wydaje, że ja sam, ale nie tylko ja buszuję świadomości, lub mniej świadomości w kilku odrębnych światach, które wybiera nam natura, jednocześnie zaś skaczemy z jednej rzeczywistości do drugiej, w zależności od naszych kontaktów tete-a-tete z każdym na swojej drodze poznanym. Dawniej, dziś i jutro. I ta nasza niejednorodność, to rozpadanie zmusiło, na przykład mnie, do obrony własnej tożsamości. Stąd pamiętnikarstwo, te moje wspomnienia, które stały się szybko- mają drugą naturę."

Pamiętnikarstwo tata zapisał mi w spadku z kilkoma innymi niematerialnymi rzeczami. Któregoś razu siedzieliśmy we Włoszech, pod naszą Wenecją na łażakach, on i ja, mama i nasza ukochana sunia jamniczka Fanta. Szkoda, że Adaś, mój brat, tak daleko w tych Stanach... Odpoczywaliśmy po kąpielach, wakacyjnie czując popołudniową siestę. Sączyliśmy powoli różne tematy, nie chciało nam się grać w karty. Słuchaliśmy radia i zastanawialiśmy się jak bardzo otaczająca nas w tym momencie rzeczywistość jest nasza. Do jakiego stopnia możemy ją sobie zaanektować i przywłaszczyć, jak te inne blizsze, polskie klimaty.

Tata wspominał po kolei czasy lwowskiego dzieciństwa i młodości, kiedy pasjonował się aktorstwem i na deskach szkolnego teatru recytował brawurowo Wielką Improwizację.

Był to przełom 1944-45 roku, dookoła szalała wojna, głód i ubóstwo, we Lwowie panoszyli się Rosjanie, a tata z grupą przyjaciół wystawiali wyrotowe przedstawienie "Dziadów" na rocznicę Mickiewiczowską. "Dlaczego nie został aktorem?" - pytali wszyscy. Miał do tego talent i zacięcie. Snuł opowieści o dziennikarskiej harówce na polu popularno-naukowym w powojennym Krakowie, kiedy to grywał w tenisa z Lemem. Chciał wtedy zostać lekarzem, i mówiono, że miał talent i do tego.

Czasy Warszawskie przyniosły romantyczną, szaloną miłość do mojej mamy, jego Ewy i wielką miłość do fantastyki, która jednak była miłością zводniczą i utopijną. Z ilu składałem się światów? - pytał.

Na co dzień zupełnie nie zdajemy sobie sprawy, jak ważne są dla nas wszystkie nasze małe światy, te całkiem osobiste i te wspólne z innymi. Jak bardzo mało uwagi poświęcamy w istocie naszym bliskim i z jakim uporem o tym myślimy, kiedy ich już zabraknie, staramy się odtworzyć ich obraz, ich sylwetkę. Pośród wielu małych wspomnień, pamiętam ręce mojego taty i sposób ich trzymania na kierownicy samochodu, ale coraz słabiej i coraz bardziej niewyraźnie. Mgliście przypominam sobie niektóre ważne zdarzenia, którym nie dość się kiedyś poświęciło uwagi. Te nasze światy umierają z kolejnymi odchodzącymi kochanymi osobami, które tworzą je wokół nas i jakby dla nas. Dziś rzeczy, kiedyś nawet mniej istotne, stają się ważne i zbyt późno odkrywamy, że uraciliśmy je bezpowrotnie.

*Gdy ja umrę
I ty żyć przestaniesz
Nikogo i niczego już nie będzie
Pustka pustka dokoła
Tylko sam Bóg nas ucałuje
w nieistniejące czoła*

Jak mantrę powtarzam te słowa wiersza z ostatniego taty tomiku "Landszafty", które dziś wykute są na jego grobowej płycie w Katakumbach na Powązkach. Powtarzam ją nad grobem Tola Szolgini i Andrzeja Hiolskiego. Brzęczała mi w głowie nad grobem Jurcia Janickiego już ponad rok temu. Jak najskrytsza, najlepsza modlitwa.

Ciągle umyślnie, niemal na siłę, staram się odtworzyć niektóre wspomnienia, wydobyć z mgły ich wyrazistość i nadać im należną ostrość i wagę. Tak jak za każdym razem, jadąc samochodem, staram się trzymać na kierownicy ręce tak, jak je trzymał kiedyś mój tata, choć on nigdy o to by nie zabiegał ani tego mnie nie uczył. A ja mimo to, lubię go dziś naśladować w tych małych i tych większych rzeczach, łudząc się, że trochę go tym samym sobie przybliżę, przypomnę, narysuję i stworzę dla siebie samej na nowo. Od podstaw i od zera. I dla innych, dla wszystkich odmaluję go wiernie, nieuchronnie po mojemu, osobiście ale i trochę publicznie. Wszak portrety właśnie maluje się po kawałeczku, szczegółami, tymi łatwymi i trudniejszymi do dostrzeżenia, które czasami są tylko cieniem.

Wiersze autorstwa Adama Hollanka, Tomik "Landszafty", wyd. Miniatura, 1996 r. Tekst pochodzi z przedmowy do najnowszej książki Adama Hollanka, która ukaże się nakładem wydawnictwa Bertelsmann w październiku 2008 roku. Jest to tom opowiadań, które w znacznej części zostały napisane tuż przed śmiercią autora i teraz po 10-ciu latach po raz pierwszy trafiają w ręce czytelników.

Nasze lektury



Teresa Domaszewska: *Zrównane z ziemią*. Wyd. UNIA, Katowice 2007, fot.

Juryj Wynnyczuk: *Knajpy Lwowa*. Przykład: Wiktorija Jurczenko i Sebastian Delura., wstęp Jerzego Janickiego. Wyd. REA, Warszawa 2007, ilustr.

Jan Skłodowski: *Krzemieniec, Ateny Wołyńskie*. Wyd. AD OCULOS, Warszawa 2007, ilustr.

Stanisław S. Nicieja: *Twierdze Kresowe Rzeczypospolitej*. Wyd. ISKRY, Warszawa 2007, fot.

Jerzy S. Wojciechowski: *40 Pułk Piechoty "Dzieci Lwowskich"*. Wyd. "Ajaks", Pruszków 2007, fot., mapy.

Jan Kraus: *Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie 1918-1946*. Wyd. Księgarnia Akademicka, Kraków 2007, fot.;

Karolina Grodziska: *Miasto jak brylant... Księga cytatów o Lwowie*. Wyd. Universitas, 2007, fot.;

Grzegorz Mazur, Jerzy Skowron, Jerzy Węgierski: *Kronika 2.350 dni wojny i okupacji Lwowa 1 IX 1939 - 5 II 1946*. Wyd. UNIA, Katowice 2007, fot., mapa.

Od Wydawnictwa

Najtragicznější wersja historii Polski dwudziestego wieku rozegrała się w latach 1939 - 1946 na Kresach, a Lwów pozostaje widocznym znakiem jej dramatyzmu i pogmatwania. "Miasto zawsze wierne", które przeżyło dwie okupacje sowieckie i równie krwawą okupację niemiecką, musiało, jak żaden inny polski ośrodek, dodatkowo zmagać się ze skutkami specyficznego rodzaju wojny domowej, czyli konfliktem ukraińsko-polskim, zaś po drugiej wojnie światowej stało się dla wielu pokoleń Polaków symbolem utraty.

Poprzedziła ją zdrada w Jalcie, gdzie zachodni alianci zapłacili Stalinowi za jego udział w koalicji antyhitlerowskiej połową terytorium naszego kraju, w tym również polskim Lwowie. Tym samym zatwierdzili zdobycze, które satrapa uzyskał zaraz na początku wojny, gdy pozostawał w ścisłym sojuszu z Hitlerem. Klęska etyczna jaką poniosły tzw. zachodnie demokracje - jej echa odbijają się rykoszetem jeszcze dzisiaj - wynikała z faktu, że aby pokonać jednego bandytę trzeba było sprzymierzyć się z drugim. Wymagało to przyknięcia oczu na wszystkie ciemne sprawy Rosji stalinowskiej, a przede wszystkim na popełnione przez nią masowe zbrodnie. W ten sposób pojawił się obszerny katalog wydarzeń źle widzianych i nagle dla wszystkich niewygodnych, jak choćby Katyń. Taką kłopotliwą sprawą dla Rosji sowieckiej i rządzących Polską po wojnie komunistów stały się także wojenne dzieje Lwowa, bo świadczyły o polskim charakterze miasta i patriotyzmie jego mieszkańców, czego dowody potrafili oni dawać nawet w sytuacjach beznadziejnych.

Była to prawda groźna, traktowano więc ją przez blisko pół wieku jak wroga. Nad tym by nie dostała się do szerszej świadomości społecznej, czuwaliby pospół: prokurator, cenzor, agent tajnej policji i sprzedajny profesor historii. W tej sytuacji również dramatyczna prawda o Lwowie schroniła się w opowieściach rodzinnych, w publikowanych w podziemiu książkach lub w przemycanych przez granicę wydawnictwach emigracyjnych. Oficjalnie przecież nie istniała, skoro przeinaczano, a jeszcze częściej przemilczano całymi latami fakty, zdarzenia, daty, nazwiska ludzi; skrupulatnie ukrywano dokumenty, opinie i relacje naocznych świadków. Urzędowo zadekretowana amnezja miała być powszechna i doskonała.

Powiodła się tylko częściowo i na krótką metę, a prawda zaczęła wracać z wygnania wraz z niepodległością.

Przedstawione w "Kronice" informacje, relacje i fakty mówią, niekiedy wręcz krzyczą, same za siebie, więc nie wymagają komentarza i dodatkowych wyjaśnień. Naszym podstawowym celem było zebranie i wydobywanie z niepamięci, a także udokumentowanie dramatycznych wydarzeń, jakie rozegrały się we Lwowie, w latach trzech następujących po sobie okupacji: dwóch sowieckich i jednej niemieckiej, które mimo odmiennych haseł i ideologii, praktycznie rzecz biorąc, łączyła ze sobą przedziwna wspólnota interesów w niszczeniu polskości i wielokulturowego charakteru wspaniałego miasta nad Półcią; wspólnota często, niestety, wspierana przez część przedwojennych współmieszkańców miasta, co było ciosem tym bardziej dotkliwym, bo zadawanym zniemacka przez "swoich".

Wydarzenia te pozostawiły niezatarte ślady w pamięci naocznych świadków, przede wszystkim samych Lwowian, dziś rozsiadanych po całym świecie, na szpaltach czasopism, stronicach książek, broszur, w wydawnictwach Polskiego Państwa Podziemnego, w drukach ulotnych, a także, w jakże często polakożerczych i podlanych propagandowym sosem enuncjacjach władz okupacyjnych, brunatnych i czerwonych, które znaleźliśmy w archiwach i publikacjach polskich, niemieckich, sowieckich, ukraińskich, żydowskich oraz alianckich.

Kroniką 2350 dni wojny i okupacji Lwowa chcemy przywrócić tamtemu nie istniejącemu dziś miastu godność i pamięć, i zarazem czcimy bohaterstwo jego mieszkańców. Jesteśmy pewni, że po przeczytaniu tej książki Czytelnik zrozumie, co tak naprawdę znaczy stara łacińska maksyma, która na zawsze zrosła się z tym miastem niezwykłym: "Leopolis semper fidelis" - Lwów zawsze wierny.



Leopolianna – postery kresowe



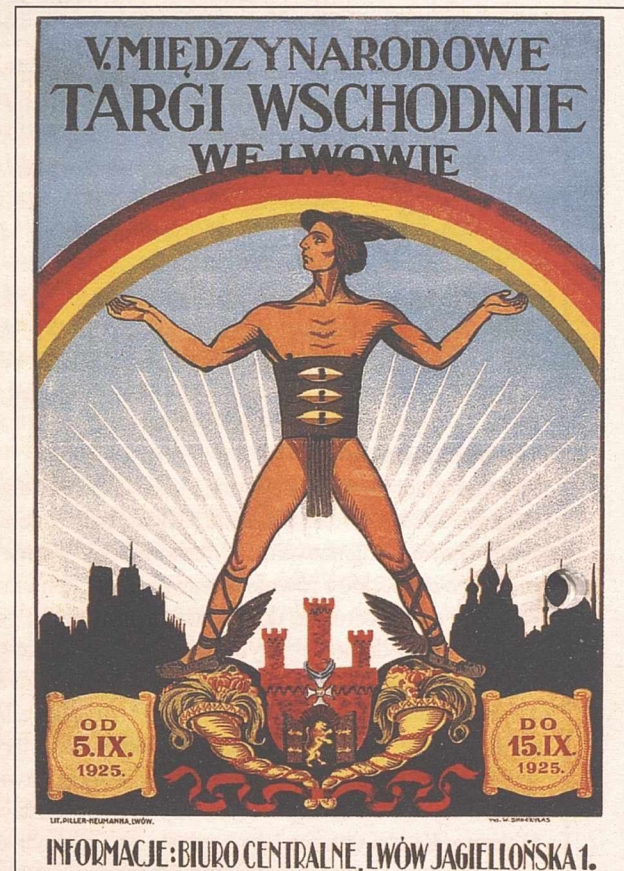
1. Wacław Włodarski 1922, litografia



2. Tadeusz Gronowski 1924, litografia



3. Kazimierz Sichulski 1910, litografia



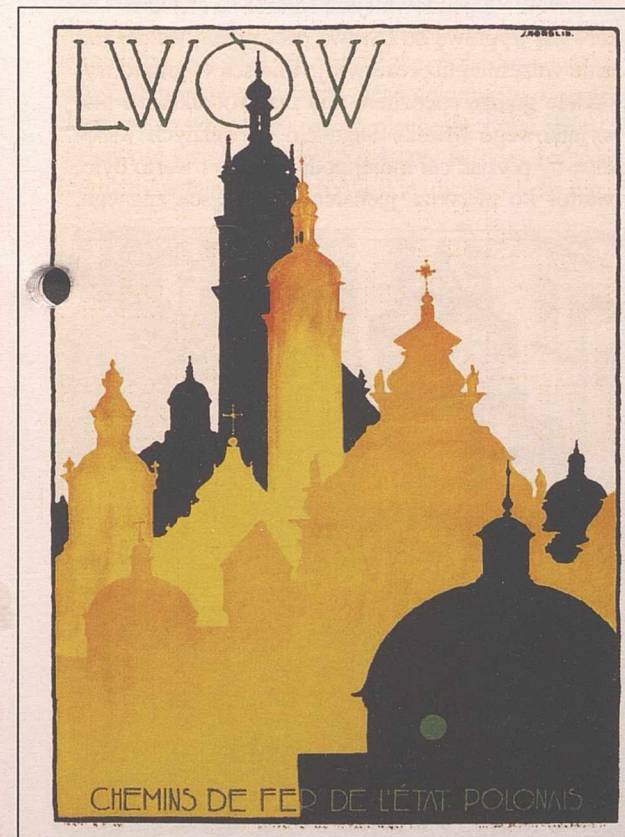
4. Władysław Skoczylas 1925, litografia



5. Jerzy Hryniewiecki. Andrzej Stypiński 1925, litografia

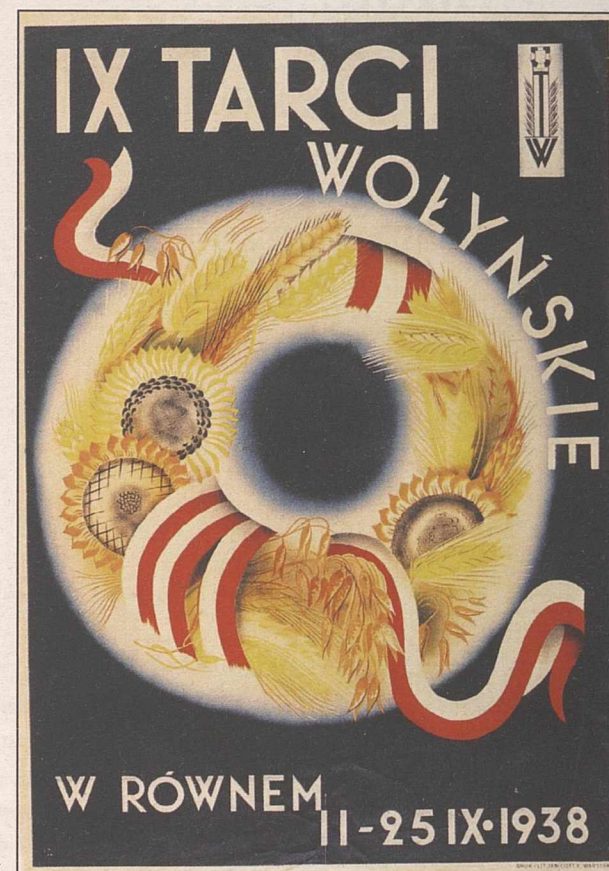


6. M. Weiser 1938, offset

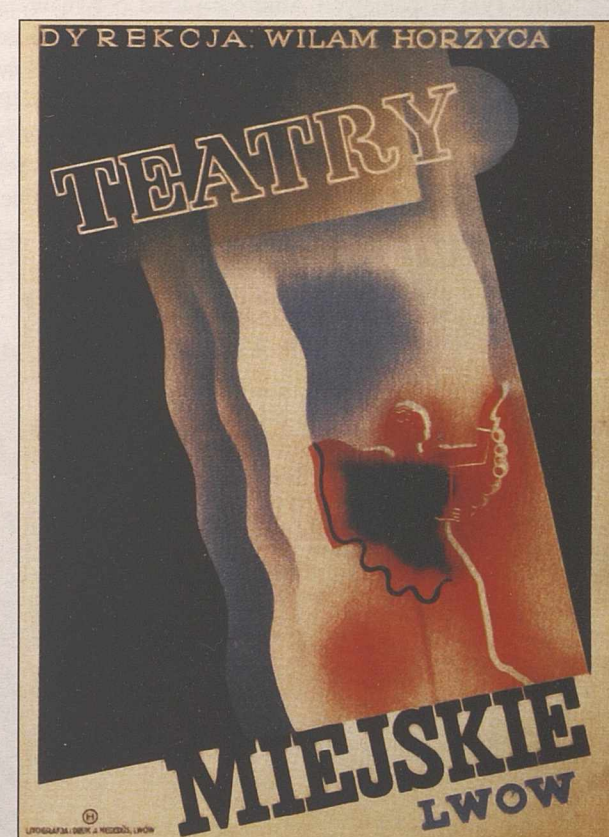


7. Stefan Norblin 1928, litografia

9. Tadeusz Gronowski 1932, litografia



8. Autor nieznany, 1938, litografia



Źródła: 1. Plakat Polski 1899-1945 ze zbiorów specjalnych Biblioteki Głównej UMCS w Lublinie. Wyd. UMCS Lublin 2004 r.; 2. Muzeum ulicy - Plakat Polski w kolekcji Muzeum Plakatu w Wilanowie. Wyd. 1996; 3. Anna Agnieszka Szablowska - Sztuka plakatu i reklamy. Wyd. IS PAN; 4. 100 lat polskiej Sztuki Plakatu. Wyd. BWA Kraków 1993 r.

Opracował Edward Kurkowski.

Moje pierwsze spotkanie ze Lwowem

JACEK GAJ



Mam pisać o Lwowie, ale co pisać? i jak pisać? Tyle już napisano o Lwowie, że gdyby zebrać wszystkie książki, artykuły, wiersze i wspomnienia, to można by swobodnie usypać obok Kopca Unii Lubelskiej, drugi - wcale nie mniejszy! A jak pisać o Lwowie, to już jest proste, można tylko w jeden sposób - sercem! Tylu wspaniałych Autorów pisało o tym wyjątkowym Mieście, że onieśmielenie powstrzymuje mnie od pisania "błahostek" z obawy o nieporadność i banalność. Ale o Lwowie pisać TRZEBA, mówić i to głośno - TRZEBA KONIECZNIE, a myśleć i tęsknić - to WOLNO WSZYSTKIM, których opowiadała nostalgia za tym jedynym Miastem. Prawdą jest, że kto raz przyjedzie do Lwowa - ten rozkocha się w nim bez końca,



i będzie chciał do niego wracać przy każdej nadarzającej się okazji.

Każda lwowska kamienica ma swoją metrykę, każda ulica i podwórko mają swoją niepowtarzalną historię, pod każdym lwowskim kamieniem jest polska łza, każde lwowskie drzewo jest otulone westchnieniem, a każdy lwowski widok związany jest z bezgraniczną tęsknotą i nieutulonym żalem. Cóż więcej można dodać, co jeszcze uzupełnić, jeśli tak wiele już powiedziano i napisano. Chyba tylko nowe tęsknoty za Miastem, które zostało tak gorzko doświadczone, tak haniebnie zdradzone i tak boleśnie opuszczone.

Nie znam dawnego Lwowa, jego kolorytu i mieszkańców. Urodziłem się zbyt późno, by móc je poznać i rozkochać się w starym Lwowie. Ale nie za późno by swoje serce oddać w słodkie jarzmo, dobrowolną niewolę tego jedynego Miasta na świecie! Może i prawda, że inne miasta są ładne, wzniesione na dogodnych terenach, posiadają piękne budowle i uznane pomniki. Lecz tylko jedno Miasto stworzono w tak urokliwym miejscu, tylko jedno zachowało tak dużą liczbę zabytków - dowodów polskości, tylko to jedno Miasto tak bardzo odwzajemniało i odwzajemnia uczucia swoim mieszkańcom i wielbicielom. Ale z tego jedynego Miasta, razem z ludźmi wygnano również pomniki - choć nie poradzono sobie z przepędzeniem polskiej duszy. Tak właśnie jest Lwów - najcudowniejsze Miasto na świecie!

Swoją pierwszą wyprawę do Lwowa przygotowywałem starannie, znacznie wcześniej niż rezerwację miejsca w grupie wycieczkowej. Wiele godzin spędziłem nad przewodnikami i planami tego wyjątkowego Miasta. Sięgałem do licznych wspomnień i opisów, by poznać cel mojej podróży. Ale i warto było, po stokroć warto! Po pierwsze jechałem do miejsca znanego,





wręcz znajomego, którego zaułki nie stanowiły dla mnie tajemnicy. Po drugie nie mogłem się zgubić, a i sam mogłem służyć pomocą przy oprowadzaniu, przynajmniej po najbardziej znanych obiektach Lwowa. W czasie pobytu w tym wytęsknionym Mieście znajomość centrum starego Lwowa przydała mi się już pierwszego popołudnia i wieczoru.

Kilometry pokonywane autokarem wycieczkowym porządnego warszawskiego biura turystycznego (szkoda, że nie mogłem go zareklamować) uciekały szybko. Dużą część trasy znalazłem z racji cotygodniowych przejazdów, ale końcówka była już nowa, krajoznawczo interesująca. Ostatni odcinek drogi przed granicą przebiegał ładnym lasem, po dobrej nawierzchni. Na ostatnim postoju w Tomaszowie Lubelskim jedna z pań zorientowała się, że ma nieważny paszport - i musiała zakończyć, tak obiecując rozpoczynając się wycieczkę. Szkoda, nauczka na przyszłość, żeby zawczasu sprawdzać dokumenty. Granica przeszła dosyć sztywno, z maskowaną niechęcią z obu stron, ale potem ciekawość wzięła górę. Widok Rawy Ruskiej, to jakby film zatrzymany w latach 70-tych. Wąskie uliczki z lichą nawierzchnią,



budynek co remontu nie widziały chyba od ostatniej wojny, trochę nowych reklam i już wyjazd na równinę Pobuża - ale dla ścisłości - nie byliśmy za Bugiem, ciągle byliśmy PRZED tą rzeką, która została graniczną, choć nigdy nią nie była. Równinna, prawie wołyńska łąka rozpościerała się z lewej strony, a śliczne wypiętrzenie masywu Roztocza mijaliśmy z prawej. Widok urzekający. W mijanych wioskach los zatrzymał czas o wiele lat wcześniej. Postój przy stacji benzynowej za wsią Piły, jeszcze przed Żółkwią, dał trochę wytchnienia po niemiłym wrażeniu przejścia granicznego. Pozwolił za to stwierdzić, że ziemia tu niczym nie różni się od polskiej. Gdyby nie obce napisy i specyficzne powojenne budownictwo sowieckie, to można by się poczuć jak na niedalekiej Lubelszczyźnie.

Obwodnica Żółkwi nie jest godna aż takiej dumnej nazwy, ale jak się później okazało, ma jedną zasadniczą zaletę - dobrze, że jest. Soposzyn minął szybko, a widok kościoła św. Mikołaja w Kulikowie przypomniał smutne lata sowieckiego ateizmu. Wzgórza Grzędy i Grzybowic były urozmaicheniem okolicy i wzmagaly tylko moją ciekawość. Aż niespodziewanie pojawił





się drogowskaz, a za nim niepozorna tablica miejscowości: Lwów - ale pisana jakoś dziwnie nienaturalnie i obco: ЛЬВІВ i L'vov. To już tutaj, tu już jest Lwów - jestem we Lwowie!

Lwowskie ulice, te nowe - są dziurawe, te zabytkowe - koszmarne nierówne, na pewno pamiętają gąsienice czołgów z ostatniej wojny. Za to porządnego remontu na pewno już nie. Trochę na wyczcucie dojeżdżamy do hotelu NTON na Kleparowie, przy Janowskiej, tuż naprzeciwko kolejowej stacji towarowej Lwów-Kleparów, z której wyjechało tyle transportów lwowiaków wywożonych w czasie wojny na wschód, a później po wojnie - na tułaczkę na zachód. Hotelik porządny, po niedawnym remoncie prezentuje się zupełnie nieźle. Warunki zakwaterowania dobre, nawet jak na polskie realia zupełnie dobre. Zresztą dla mnie było to mniej istotne, w końcu - jestem już we Lwowie! Tak, oddycham lwowskim powietrzem! A woda w kranie - jak mineralna, smaczna i krystaliczna, dobrostańska orzeźwicielka.

Obiadokolacja mija szybko, chociaż świetne słodkawe placuszki z twarogiem polane śmietaną długo będę pamiętał. Kusi zobaczenie od razu serca Lwowa. A więc krótki spacer do pętli tramwajowej 7-ki i już osobliwa jazda lwowskim tramwajem. Kupowanie biletu od bileterki w tramwaju jest, jak na nasze warunki, egzotyką wartą zobaczenia. Późne godziny popołudniowe, właściwie przedwieczne, wakacyjny lipiec - więc i pasażerów niewielu. Tramwaj bardzo podskakuje i rzuca na wyjeżdżonych szynach, jadąc ulicą Janowską, cały czas z górki do centrum. Mijamy cmentarz Janowski, koszary, wreszcie kościół św. Anny, posępne Brygidki. Przystanek na tyłach Teatru Wielkiego przywraca rzeczywistość, trzeba wysiadać. Ale nagroda jest już za chwilę, tak - to Wały Hetmańskie! Samo centrum Lwowa, tego jedynego, cudownego Miasta. Rozemocjonowany w ciągu półtorej godziny spenetrowałem całe centrum, chodziłem jak po swoim rodzinnym mieście. Cały czas wiedziałem: gdzie jestem, i gdzie idę, i gdzie chcę iść. Kolega, któremu byłem za przewodnika dzielnie podążał za mną. Wzajemne uprzejmości pozwoliły na uwiecznienie się na fotografiach w swoich aparatach. Lekko utrudzeni trafiliśmy na piwny wyszynk, na Wąłach Hetmańskich... za nieczynnym kościołem jezuitów. Ciepły, letni wieczór w centrum Miasta, pierwszy raz oglądanego własnymi oczami, a nastrój swojski, jakbym był w znajomych uliczkach, wręcz



u siebie. A to przecież ten wymarzony Lwów, w którym jestem pierwszy raz w życiu! Lwowskie piwo jest dobre, wyrabiane pewnie na tej samej wodzie od setek lat. Krzepiący odpoczynek po emocjach dnia, po trudach podróży i po pierwszym zachłystnięciu się tym wyjątkowym Miastem. Zmrok pojawił się niewiadomo kiedy, uliczny ruch do późnych godzin, wszechobecne "marszrutki" o przeróżnych numerach kręcące się bezustannie. Zresztą ruch pojazdów we Lwowie to prawdziwy horror dla kierowców przyzwyczajonych do cywilizacji zachodniej. Podczas drugiego pobytu we Lwowie miałem okazję przejechać się takśówką - doświadczenie warte przeżycia, choć włos się jeży.

Powrót do hotelu ostatnim tramwajem nr 7 z Placu Krakowskiego. Toaleta wieczorna znów w lwowskiej wodzie. Rozkosz, aż szkoda było jej używać do mycia. Taką wodę można pić prosto z kranu. Sen trudno przychodził, z jednej strony emocje pierwszego dnia pobytu we Lwowie, a z drugiej - za oknami do późnej nocy intensywny ruch samochodów na ul. Janowskiej w kierunku przejścia granicznego w Korczowej. Wreszcie upragniony sen, krzepiący siły przed jutrzejszym zwiedzaniem Lwowa. Aż tu w środku nocy, gdzieś około 3⁰⁰, odezwały się megafony na dworcu kleparowskim! Jakiś "dowcipniś", sowiecką modą ogłaszał coś przez megafon na całą okolicę: komu? co? i po co? w środku nocy? Ale wybudzić, wybudził i to skutecznie!

Rano, w doskonałych nastrojach, po śniadanku, ruszamy autokarem - w Miasto. Przewodniczka, młoda Ukrainka, czekała przed hotelem. Przejazd ulicami Janowską, Gródecką obok kościoła św. Elżbiety, dalej Sapielhy przy Politechnice, potem Kaddecką obok Szkoły Kadetów i Stryjskiego Parku, aż do Cmentarza Łyczakowskiego. Byliśmy tam pierwsi, niewielki parking przed wejściem jeszcze pusty. Pilot sprawnie zakupił bilety i już jesteśmy na jednym z czterech cmentarzy najważniejszych dla historii Polski.

Pierwszy szok po przekroczeniu bramy: z prawej strony budują memoriał UPA? Tu, na cmentarzu Łyczakowskim? Nie do wiary! Co za arogancja - memoriał UPA na Łyczakowie! Przewodniczka dyskretnie ominęła ten "pomnik arogancji i bezczelności" prowadząc nas aleją zasłużonych, gdzie były tylko polskie nazwiska. Mnie to nie zdziwiło, ale innych trochę - jak to we Lwowie polskie groby? A tak to właśnie. Wiele grobów-pomni-

ków, nie powstydzilyby się najlepsze pracownie artystyczne. No, może poza nagrobkami sowieckimi i ukraińskimi, których "artyzm" nie dorównuje nawet jarmarcznej albo odpustowej "sztuce" na dalekiej polskiej prowincji. Spacer alejkami cmentarza Łyczakowskiego doprowadził nas do lwowskiego Campo Santo - Cmentarza Obrońców Lwowa, bardziej znanego jako Cmentarz Orląt Lwowskich. Łza się kręci w oku na jego obecny widok, tym bardziej, gdy porówna się go ze zdjęciami z okresu radzieckiej dewastacji! Nie ma piękniejszego cmentarza wojskowego na całym świecie niż właśnie ten! Ujednolicone, betonowe krzyże nawet potęgują wrażenie tego wyjątkowego miejsca, zmieniając wygląd znany z przedwojennych pocztówek. Tylko okaleczony pomnik chwały, bez 12-tu kolumn sprawia jakieś osobliwe smutne wrażenie, że czegoś tu brakuje. Brak lwów od strony Pohulanki stanowi dziwny kontrast i zubaża wygląd całości. Komu one przeszkadzały? Czy kamienne pomniki są zagrożeniem dla dzisiejszych "włodarzy" lwowskich? Zające podeszwy muszą oni mieć, skoro boją się martwych kamieni. O przepychankach z napisem na grobie pięciu nieznanym z Persenkówki już nie wspomnę. A rozkopanie drogi dojazdowej do cmentarza przed wizytą Papieża-Polaka. To była panika, strach przed historyczną wizytą Papieża na cmentarzu podniesionym z popiołów. Postępowanie godne Sowietów! Zresztą zupełnie w ich stylu. Nie dopuścić do odwiedzin za wszelką cenę, pod obojętnie jakim pretekstem, przy każdej nawet najbardziej bezsensownej argumentacji - głupie tłumaczenie znajdzie się później, aby tylko zapobiec wizycie! Cel osiągnięto - niestety!

Sam cmentarz jest po prostu wyjątkowy, prosta, ponadczasowa forma, piękno całości i piękno szczegółów. Doskonałość układu architektonicznego i piękno miejsca odrestaurowanego, przywróconego z niebytu. Świadomość braku poszczególnych elementów w stosunku do przedwojennego oryginału nie umniejsza jego wartości artystycznej - Cmentarz Orląt JEST po prostu piękny! Kornel Makuszyński w "Uśmiechu Lwowa" trafnie opisał emocje wywołane pobytem w tym wyjątkowym miejscu Lwowa. Dlaczego ta piękna nowelka jeszcze nie jest lekturą w polskich szkołach podstawowych? Czy to tylko niedopatrzenie naszych rodzimych "edukatorów"? Za komuny, mogę zrozumieć, żeby to niewygodne, albo i niebezpieczne dla systemu, ale teraz - co stoi na przeszkodzie, żeby zastąpić mdle wypociny różnych

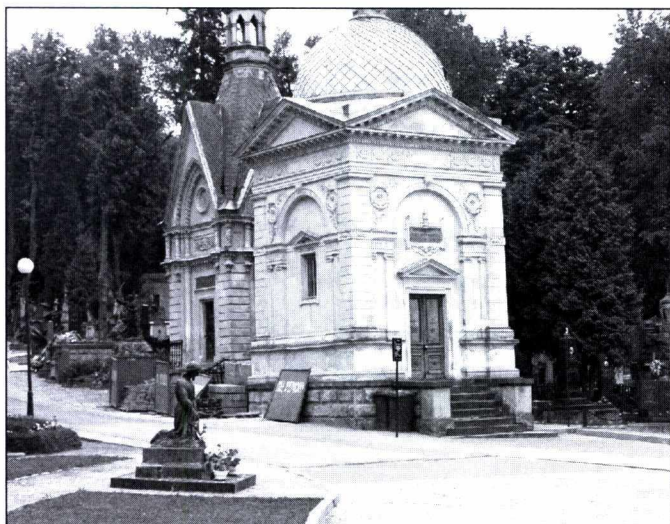
autorów, wciskających dzieciakom swoje błahostki, naszą rodziną i przeuroczą, piękną nowelką? Jej patriotyczna wymowa aż się prosi o popularyzację! Godna jest wszystkich nagród i zaszczytów - za swoje piękno i prostotę poruszającą wyobraźnię i serce.

Zresztą niewielu Polaków wie, że Grób Nieznanego Żołnierza w Warszawie kryje w sobie prochy Obrońcy Lwowa - tak właśnie, nieznanego obrońcy Persenkówki! Niewiedza historyczna rzeczywiście zadziwiająca! Ale naród nie ceniący swojej historii ..., szkoda słów. Za to możemy podziękować rodzimym zdrajcom i sprzedawczykom, którzy nawet wiele lat po przełomie 1989 roku nie chcą widzieć wielu aspektów historii, której winni są szacunek. Nie mają wykrętu ani wytłumaczenia - prawda historyczna jest nieubłagana, a łgarstwo jest zawsze łgarstwem.

Powrót do autokaru znowu przez Cmentarz Łyczakowski, ale innymi alejkami, żeby chłonać znowu piękno tego miejsca. Potem przejazd lwowskimi uliczkami pod Wysoki Zamek. Spacer na Kopiec Unii Lubelskiej dla osób starszych jest pewnym wysiłkiem, ale wysiłek ten jest nagrodzony niezapomnianymi widokami ze szczytu kopca. Panorama Lwowa na wszystkie strony świata, widok 360° wokół. Nie ma piękniejszego widoku, niż ten z Kopca Unii Lubelskiej! Nawet w Wilnie nie jest widoczny pełny widnokrąg, tylko jego sektor. Widać wszystko dokoła: i zielony kwartał Cmentarza Łyczakowskiego, i stare centrum Lwowa z licznymi wieżami kościołów i ratusza, i odległe wieże kościoła św. Elżbiety, widoczne w tle cerkwi św. Jura, i wzgórze Kleparowa z wijącą się linią kolejową, i szare bloki Zamarstynowa, i podzamcze u stóp, i Zniesienie, i zakończenie Roztocza pod Winnikami. A w oddali równiny Wołynia i wyżyna Podola. Przy dobrej widoczności podobno widać nawet Karpaty, ale nam ten widok nie był dany.

Powrót do centrum znowu autokarem. Zabytków do zwiedzania ogrom. Trzeba się spieszyć, żeby zdążyć zobaczyć wszystkie w tak krótkim czasie. Który jest piękniejszy - kto się odważy ocenić? Każdy obiekt na swój sposób śliczny, niepowtarzalny, uroczy: Katedra Lwowska (założona przez Kazimierza Wielkiego!), kościół Dominikanów (perła baroku lwowskiego), przepiękni Bernardyni, tajemnicza Katedra Ormiańska, ciekawa cerkiew Uspeńska, rynek z czterema fontannami, wreszcie po-





mnik Adama Mickiewicza - nie wszyscy zaglądają na jego drugą stronę, dowiedzieliby się jakie herby są jego nieodłączną częścią! Wiele uliczek w centrum było rozkopanych, prace "restauracyjne" dotyczyły nawierzchni, ale także elewacji budynków. Zwłaszcza "renowacja" kamieniczek przy rynku jest moim zdaniem prowadzona bez gustu i znajomości sztuki. Taki remont odbiera urok tych budowli. Kamieniczki przed remontem mają zupełnie inny wyraz niż po jego zakończeniu. I wcale nie jest on korzystniejszy! Nie wiem czy to niechlujstwo, czy beztalencie rzemieślników, oni tylko psują te zabytki, a nie odnawiają! Aż szkoda takiej partaniny!

Kolejny obiekt zwiedzania - Teatr Wielki - nikomu nie trzeba rekomendować, to jest chyba najpiękniejszy obiekt Lwowa. Piękno tego budynku stanowi o jego światowej randze. Wcale nie jest przesadą zakwalifikowanie go do pięciu najpiękniejszych teatrów na świecie. Błyskotliwe nowatorskie osiągnięcie techniczne, piękna architektura, kompozycja i rozwiązania szczegółów jakie tam ówczasie zastosowano - nie mają sobie równych do dziś.

Później już tylko trochę czasu wolnego do zagospodarowania we własnym zakresie i ustalenie miejsca spotkania przed odjazdem do hotelu. Uwagę przykuwał osobliwy widok arbusów leżących w pryzmach wprost na chodniku, sprzedaż nasion słonecznika i orzeszków, odmierzanych szklaneczkami i podawanych wprost ... w papierowe zawiniątka. Oczywiście były zakupy różnych towarów wysoko- i niskoprocentowych, no i powrót do autokaru zaparkowanego przy dawnych Krakidałach. I tutaj należy jeszcze wspomnieć o niewesołych faktach związanych z egzystencją Polaków, szczególnie osób starszych, we Lwowie. Smutne to, ale prawdziwe, że tamtejszych Polaków (celowo nie używam określenia Polonia) trzeba wspierać, bo im samym ciężko jest egzystować w takich warunkach, jakie tam panują. Zwłaszcza osoby starsze skazane są na wegetację, nie mając środków do życia. Skromne datki od wycieczkowiczów spotkały się za to ze łzami wdzięczności, szczerymi choć ukrywanymi. Nie miałem dotychczas okazji by zgłębić ten problem, ale wiem, że jest on istotny i powszechny.

W hotelu obiadokolacja i odpoczynek. Po takiej dawce spacerów należał się bardzo. Kolejna noc minęła spokojniej, może trochę przyzwyczajenia do warunków dużego ruchu komunikacyjnego, może mniej dokuczliwe ogłoszenia przez stacyjny megafon - fakt, że spało się lepiej, a może to wynik zmęczenia, ilości wrażeń.

Ostatniego dnia pobytu we Lwowie śniadanie miało już tro-

chę melancholijny wyraz, pakowanie się do autokaru i w drogę powrotną. W sumie mój pierwszy pobyt we Lwowie trwał około 39 godzin. Czy dużo to czy mało? Jak na pierwszy raz może nie było to mało, a rozpatrując ogólnie - stanowczo i zdecydowanie za mało. Na zwiedzanie Lwowa, choćby tylko pobieżne, uwzględniające tylko obiekty najbardziej warte zobaczenia, szacuję, że potrzeba co najmniej kilkunastu dni. Nie wspominając o dokładniejszym delektowaniu się architekturą zachowanych budowli lwowskich albo podziwianiem "zgrupowanych" (czytaj: odebranych) zabytków w licznych muzeach.

Odjeżdżaliśmy ze smutkiem, kierunek Warszawa. Ale przed nami było jeszcze zwiedzanie Żółkwi, starego królewskiego miasteczka. Zasługującego na uwagę pod każdym względem, jak większość kresowych miast i miasteczek. Każde z nich ma swoją niezgłębioną historię, często zatraconą w mrokach zawieruchy historii, każde ma niepowtarzalny urok. W Żółkwi jest kilka obiektów wartych zwiedzenia. Oczywiście kolegiata św. Wawrzyńca, która właśnie przechodziła zabiegi konserwatorskie, ale także kościół dominikanów - zamknięty na głucho (rok później udało mi się wejść do środka za 10 hrywien i podziwiać ją wewnątrz w czasie remontu), zamek, kościół bazylianów, synagoga i rynek. Wszystkie te zabytki mają swój osobliwy urok, związany także z ich złym lub opłakanym stanem technicznym, który nadaje im specyficzny wygląd obiektów, które swoje lata świetności mają już dawno za sobą. Uczestnictwo we mszy św. w kolegiacie umożliwiło przybliżoną ocenę wielkości społeczności polskiej ocalałej po latach sowieckiej i ukraińskiej depolonizacji, pokazało skromność ale i siłę tych ludzi.

Zdobyłem się na odwagę spróbowania kwasu chlebowego, który został przywieziony pod zamek Żółkiewskich w beczce na jednoosiowej przyczepce ciągniętej przez UAZ-a. Nie odważyłem się natomiast skorzystać z powszechnych szklanek wielorazowego użytku, jak kiedyś przed laty u nas z saturatorów, i poprosiłem o jednorazowy kubeczek. Trzeba przyznać, że oferowany kwas chlebowy był chłodny i smaczny, i nie miałem żadnych sensacji żołądkowych, których jednak trochę się obawiałem rozważając możliwość degustacji.

Potem już tylko odjazd, ostatnie spojrzenie na oddalające się wieże kościołów Żółkwi i jazda do przejścia granicznego. A r granicy powtórka przeprawy, tak jak podczas wjazdu. Podobny czas trwania, podobnie chłodne traktowanie i równie duże emocje. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze i po naszej stronie granicy można było się odprężyć psychicznie - mimo wszystko jesteśmy znowu w Rzeczypospolitej.

Poznać historię to zgłębiać wiedzę o korzeniach narodu, a Kresy to nierozdzielna część historii Polski, naszych dokonani i osiągnięć. Wielkim wstydem jest nie znać historii swojego narodu, ale karygodnym jest odcinać się od niej lub ją negocjować albo wypaczać.

Nie można uzasadniać dość powszechnego braku zainteresowania młodzieży wiedzą historyczną dyrdymałami o nieciekawej i nudnej przeszłości. Historia zawsze była i jest ciekawa, o ile tylko umie się nią zainteresować i tę wiedzę przekazać. Historia polskich Kresów to skarbnica wiedzy o zamierzcztych, minionych już czasach, które jednak stanowią o naszym rodowodzie. Nie można żyć w oderwaniu od przeszłości, egzystencja człowieka bez korzeni jest płytka, narodu - poważnie zagrożona.

sercem - batiar lwowski

Fot. w artykule Jacek Gaj

Galicyjskie mecenaty. Dwa skarby hrabiego Skarbka

EUGENIUSZ MATULA

W lwowskiej (ukraińskiej) gazecie "WYSOKI ZAMEK", w 1999 roku ukazało się pod wyżej przytoczonym tytułem obszernie opracowanie pióra Tatiany Kostenko, o postaci hrabiego Stanisława Skarbka, rozślawionego tym, że był fundatorem, a potem dyrektorem najnowocześniejszego i największego w owym czasie w Europie teatru we Lwowie, nazwanego jego imieniem, oraz tym, że całe swoje dobra przeznaczył na zbudowanie drohowyckiego zakładu - przytułku dla ubogich i sierot w powiecie mikołajowskim.

W niniejszym artykule posłużono się w zasadzie dosłownym cytowaniem większości fragmentów opracowania T. Kostenko, tylko w sporadycznych wypadkach - ich nieznacznymi skrótami.

* * *

Stanisław Skarbek urodził się 20 listopada 1780 roku w Obertynie koło Kołomyi. Jego ojcem był Jan Skarbek - z hrabiowskiego rodu, herbu Abdank, a matką - Teresa z hrabiów Bielskich. Stanisław bardzo wczesnie osierocił. Matka zmarła po którymś z pógów, a w 4 lata po niej odszedł ojciec. Wychowywał się, razem ze starszym bratem Ignacym, w domu ciotki, hrabiny Rzewuskiej, niewiasty energicznej, która sama zarządzała wielkimi majątkościami. Na naukę oddano go do Lwowa, gdzie zakończył edukację w 1800 roku. W roku 1802 umiera ciotka i młody hrabia dostaje w spadku majątek Brzozdowce. Z domu ciotki wyniósł umiłowanie swojej ojczyzny i gotowość służenia jej.

Rząd austriacki, którego skarb został mocno nadszarpnięty wojnami napoleońskimi, sprzedawał ziemię za 10% jej wartości. Wielu ziemian skorzystało z takiej okazji. Skarbek powiększył swoje majątki o ziemię Żydaczowa, Mikołajowa i koło miejscowości Żabie.

W tym czasie poznał hrabiankę Zofię Jabłonowską. Ona miała 15 lat, on 35. Pobierają się, ale po paru latach małżeństwo to rozpada się. Później Zofia wychodzi za mąż za poetę hr. Aleksandra Fredrę. Proces sądowy, niepowodzenia finansowe, choroba, w wyniku której musiał wyjechać na leczenie za granicę, nadszarpnęły mocno finanse Stanisława. Zwrócił się o pomoc do brata Ignacego, ale ten okazał się obojętny i Stanisław zerwał z bratem stosunki.

Kiedy Stanisław odzyskał zdrowie, z właściwą sobie energią zabrał się do pracy. Sam zajmuje się zarządzaniem swoimi majątkami, buduje w Drohowyżu garbarnię, browar, prowadzi hodowlę zwierząt, handluje mięsem. W 1833 ro-

ku Skarbek przystępuje do realizacji swoich planów i poświęca temu całą resztę życia. Jest to budowa teatru we Lwowie i zakładu dla ubogich i sierot w Drohowyżu.

Jeszcze w 1783 roku cesarz Józef II na wniosek Sejmu Galicyjskiego oddał część placu Kastrum we Lwowie na zbudowanie teatru. Ale przez 50 lat nie znalazł się nikt chętny do skorzystania z monarszej łaski. I kiedy Skarbek w 1833 roku zwrócił się do gubernatora Galicji, arcyksięcia Ferdynanda, z propozycją zbudowania teatru, to w ciągu 2 tygodni gmina lwowska otrzymała taki przywilej na rzecz Skarbka. Skarbek podpisał z władzami Lwowa stosowną umowę i przystąpił do dzieła.

Do pracy nad projektem teatru zaangażowano znanego architekta wiedeńskiego, członka Akademii Rzymskiej, L. Pi-



Fronton Teatru Skarbkowskiego we Lwowie (Fot. E. Matula, 2005 r.)

chla, oraz miejscowego architekta I. Salzmann. Na zlecenie Skarbka I. Salzmann i scenograf L. Polmann udali się w podróż do Belgii, Francji i Holandii, żeby zapoznać się z najlepszymi rozwiązaniami obiektów teatralnych, a także sam Skarbek zwiedzał najsłynniejsze teatry w różnych stolicach.

Na plac budowy teatru wybrano tę część placu Kastrum, która powstała w XVIII wieku po rozebraniu ruin Niskiego Zamku. Do robót przystąpiono w 1837 roku. Na budowę wzięto z majątków Skarbka takie materiały, jak drewno, cegły, kamienie, piasek, wapno. Uwzględniając sąsiedztwo Pełtwi, dla wzmocnienia fundamentów wbito w bagnisty grunt 16 tysięcy dębowych pali. Budowa teatru była znaczącym wydarzeniem w mieście i zwracała na siebie uwagę. Cichy i nieznan wcześniej Skarbek stał się postacią szczególnie popularną. Od rana do wieczora był obecny na budowie. Sam wypłacał należność robotnikom, doglądał ich pracy, nawet gwoździe osobiście wydawał cieślom. Był bardzo oszczędny w wydatkach, nie dziw więc, że taki imponujący obiekt zbudowano stosunkowo niewielkim kosztem. Czasem oszczędność Skarbka graniczyła ze sknerstwem, co bywało tematem żartów. Ale on nie zwracał na to uwagi i był pewny, że potomni we właściwy sposób ocenią jego wielki wkład w stworzone dzieło.

Budowę ukończono w styczniu 1842 roku. Zarówno wnętrze, jak i zewnętrzny wygląd tego obiektu nie zachowały się w pierwotnym kształcie do naszych czasów. Na głównej fasadzie był umieszczony herb hrabiego Skarbka, a fronton zwieńczała kwadryga Apolla, która jednak zwała się w 1847 roku na skutek gwałtownej burzy. Widownia miała 5 poziomów (amfiteatr z lożami i 4 piętra) i liczyła 1460 miejsc. Teatr zbudowano w stylu klasycystycznym. Dokumentnie zmienił on plac Kastrum i znacznie upiększył miasto. Otwarcie teatru, które nastąpiło 28 lutego 1842 roku, było w mieście wielkim wydarzeniem. Teatr nazywano "Świątynią Muz", która miała rozślawić Lwów. Podziw dla teatru przerósł wszelkie oczekiwania. Publiczność była zachwycona. Jak pisała ówczesna prasa, gdzie tylko rzucić okiem, wszystko było wykonane z wielkim smakiem artystycznym. Amfiteatr - wygięty w półkole, przestrzennie rozmieszczone wygodne fotele dla widzów, dobre oświetlenie widowni, nad którą pośrodku wiszą cudnie wykonane lustra. Akustyka taka doskonała, że słychać najcichszy głos aktorów.

Na otwarcie teatru wystawiono niemiecką sztukę "Sens życia", ale w dniu następnym zagrano komedię Aleksandra Fredry "Śluby panieńskie". I tego samego dnia nadano Skarbkowi "teatralny przywilej", dzięki któremu nowo wybudowany teatr stawał się jego własnością i do lutego 1892 roku wszystkie teatralne wpływy były zwolnione od podatku. Skarbek kierował teatrem 6 lat. Miał wielkie plany jego zreformowania, ale konflikty z aktorami i prasą nie pozwoliły ich zrealizować.

* * *

O ile idee zbudowania teatru Skarbek zdołał urzeczywistnić za swego życia w całości, to dla zakładu w Drohowyżu zdążył tylko położyć fundamenty. Ale aktem fundacyjnym, na budowę i utrzymanie tego zakładu - z dnia 1 sierpnia 1843 roku - przekazał cały swój majątek, składający się z teatru,

trzech miasteczek i 29 wsi, a sam zakład był przeznaczony dla pobytu i wyuczenia zawodu 400 ubogich i sierot wiary chrześcijańskiej, urodzonych w Galicji. Kuratorami zakładu mieli być krewni Skarbka w linii męskiej.

Stanisław Skarbek zmarł 27 października 1848 roku. Budowa i utrzymanie teatru oraz zaciągane na ten cel kredyty, doprowadziły do tego, że w kasie została mizerna gotówka, pozwalająca na skromny pochówek. Został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Prasa zamieściła tylko skąpe nekrologi. W "Gazecie Lwowskiej" ograniczono się ledwie do 15 wierszy, przypominając, że zmarły był znanym człowiekiem, o silnej woli, który z powodzeniem realizował swoje plany.

Minęło 150 lat od śmierci wielkiego filantropa i fundatora, hrabiego Stanisława Skarbka. Co zrobiono dla uszanowania pamięci tej niezwyklej postaci? Jakie były losy jego życiowych przedsięwzięć?

Po śmierci Skarbka prawie przez 20 lat dochody z jego fundacji idą na utrzymanie teatru, ale nie wystarcza ich na budowę drohowyżskiego zakładu. Krewny Stanisława Skarbka - hr. Władysław Skarbek - zasila fundację własnymi pieniędzmi.

Wreszcie Sejm udziela zezwolenia na finansowanie teatru przez gminę m. Lwowa i odtąd wszystkie dochody z fundacji przeznaczają się na budowę zakładu.

Otwarcie zakładu w Drohowyżu odbyło się 15 listopada 1875 roku. Na uroczystość zjechali goście z całej Galicji. W swoich wystąpieniach wszyscy oddawali należną część fundatorowi tej instytucji, hrabiemu Stanisławowi Skarbkowi.

Pierwszym kuratorem, za kadencji którego zakończono budowę zakładu i nastąpiło jego otwarcie, był książę Karol Jabłonowski, mąż jednej ze Skarbkówn. Wkrótce w Drohowyżu, w młodym lasku, zbudowano kaplicę - mauzoleum dla tych z rodziny Skarbków, którzy przyczynili się do budowy i utrzymania zakładu.

W roku 1888 uroczyste przywieziono ze Lwowa prochy Stanisława Skarbka i złożono w drohowyżskiej kaplicy, która dzisiaj, zrujnowana, przedstawia sobą symbol niezłomnego ducha i woli hrabiego Stanisława Skarbka i jego szlachetnej rodziny, ale także daje świadectwo braku pamięci u tych, dla których dobra z taką pasją on działał.

Obiekt zakładu dotrwał do naszych czasów, także stary park i dookolne jezioro. Mieści się tu teraz szpital.

W 1871 roku teatr poddano gruntownej restauracji i na cześć fundatora ustawiono w foyer gipsową figurę Skarbka, dzieło Parysa Filipe. W 1902 roku teatr był siedzibą filharmonii i w późniejszych latach kilkakrotnie zmieniał swą funkcję. Na przykład w latach trzydziestych mieściło się tam kino "Atlantic".

W 1939 roku przystąpiono do gruntownej przebudowy teatru, z przerwą w latach 1941-1944 (niemiecka okupacja). Od 1944 roku budynek ten jest siedzibą Teatru Dramatycznego im. M. Zańkowieckiej.

Na 150 rocznicę śmierci Stanisława Skarbka, z inicjatywy dyrektora artystycznego Teatru - Mirona Kipriana, znany ukraiński rzeźbiarz, laureat państwowej nagrody im. T. Szewczenki, prof. Dymitr Krwawicz sporządził relief z popiersiem Stanisława Skarbka, który umieszczono w foyer teatru. Odbyło się to jakby "w przeddzień" tej rocznicy, bo w grudniu 1997 roku.

Śp. dr hab. n. med. Wacław Ogielski

(5 stycznia 1921 - 6 lutego 2008)

6 lutego 2008 roku zmarł w wieku 87 lat nasz Przyjaciół, jeden z ostatnich już wychowanków niezapomnianego VIII Gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego we Lwowie, osierocając nie tylko swoją rodzinę, ale też coraz mniejszą grupę lwowskich harcerzy - weteranów, członków najstarszej polskiej drużyny harcerskiej Pierwszej Lwowskiej imienia Tadeusza Kościuszki. Spoczął na cmentarzu Komunalnym w Kielczowie, gmina Psie Pole pod Wrocławiem.

Urodził się 5 stycznia 1921 roku we Lwowie. Jego rodzice - Kamila Konstancja ze Stojakowskich i Wincenty Franciszek byli nauczycielami. Podobnie jak starszy Jego brat - Lesław Stanisław, późniejszy profesor i kierownik Katedry Histo-
ry Produktów Zwierzęcych Akademii Rolniczej we Wrocławiu, także Wacław uczęszczał do państwowego VIII Gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego we Lwowie, szczytującego się zarówno wybitnym gronem nauczycielskim, jak i długą listą wychowanków tej szkoły, którzy w swojej późniejszej działalności osiągnęli znaczące sukcesy na niwie kulturalnej, naukowej czy zawodowej.

W gimnazjum zetknął się z harcerstwem, należąc do 1 Lwowskiej Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki, gdzie ukształtowało się Jego zamiłowanie do samodzielności i wędrówek, gdzie także zawarł przyjaźnie, które przetrwały do końca życia. Wyrazem tych nieginiących przyjaźni były coroczne zjazdy Kręgu byłych harcerzy 1 Lwowskiej Drużyny Harcerskiej, odbywające się od ponad 20 lat z

reguły w stolicy harcerskiej w Sobótce pod Wrocławiem. Ostatni zjazd miał miejsce w 2004 roku. Wacław Ogielski do końca swoich dni był członkiem Komisji Rewizyjnej Kręgu.

Maturę zdał w maju 1939 roku. W 1940 r. - pod okupacją sowiecką - rozpoczął studia medyczne, które kontynuował po zajęciu Lwowa przez Niemców aż do 1944 roku, kiedy wyjechał w rejon Nowego Sącza, gdzie wziął ślub z Janiną Jadwigą Ihnatowiczówną. Od 1945 r. przebywał z żoną w Krakowie i tu na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1947 roku otrzymał dyplom lekarza. W 1949 roku został powołany do służby wojskowej, w której spędził 36 lat, odchodząc w 1985 r. na emeryturę w stopniu pułkownika. Przez cały ten okres działał w służbie zdrowia jako specjalista chirurgii urazowej i ortopedii.

Tytuł doktora nauk medycznych uzyskał w 1952 roku, zaś II stopień specjalizacji z chirurgii urazowej i ortopedii - w 1955 roku. W latach 1953-58 był ordynatorem Oddziału Chirurgicznego w Wojskowym Szpitalu w Grudziądzu. Od 1956 do 1985 roku pracował we Wrocławiu, w Wojskowym Szpitalu Okręgowym na Oddziale Chirurgii Urazowej i dodatkowo, od 1958 r. przez około 20 lat pełnił funkcję lekarza naczelnego w Zakładzie Szkolenia Inwalidów we

Wrocławiu. W 1963 roku wyjechał do Anglii na stypendium Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej w celu zapoznania się z organizacją rehabilitacji osób niepełnosprawnych.

We Wrocławiu działał w Towarzystwie Walki z Kalectwem, pełniąc tam m.in. funkcję przewodniczącego Oddziału Wrocławskiego. W marcu 1973 r. uzyskał habilitację z zakresu swojej specjalności. W latach 1974-85 był naczelnym specjalistą d/s rehabilitacji w woj-

skowej służbie zdrowia, a od 1978 do 1985 roku - członkiem kierowanego przez prof. Wiktora Degę Krajowego Zespołu Specjalistycznego w zakresie rehabilitacji.

Ponad 20 lat działał w Komisji Egzaminacyjnej przy Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej dla lekarzy specjalizujących się w chirurgii ortopedycznej i urazowej.

W 1978 roku został mianowany kierownikiem Kliniki Chirurgii Urazowej i Ortopedii w Wojskowym Szpitalu Klinicznym z Polikliniką we Wrocławiu, będąc tam jednocześnie ordynatorem Oddziału Rehabilitacji. W latach 1978-85 był członkiem Rady Wydziału w Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.

Do najważniejszych otrzymanych odznaczeń należą: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi i Złota Odznaka Towarzystwa Walki z Kalectwem.

Śp. Wacław pozostawił żonę Janinę Jadwigę i syna Andrzeja, doktora w zakresie fizyki teoretycznej oraz córki, piastujące stanowiska profesorskie na Uniwersytecie Wrocławskim: Maria - w Instytucie Zoologicznym, Anna - w Instytucie Filologii.

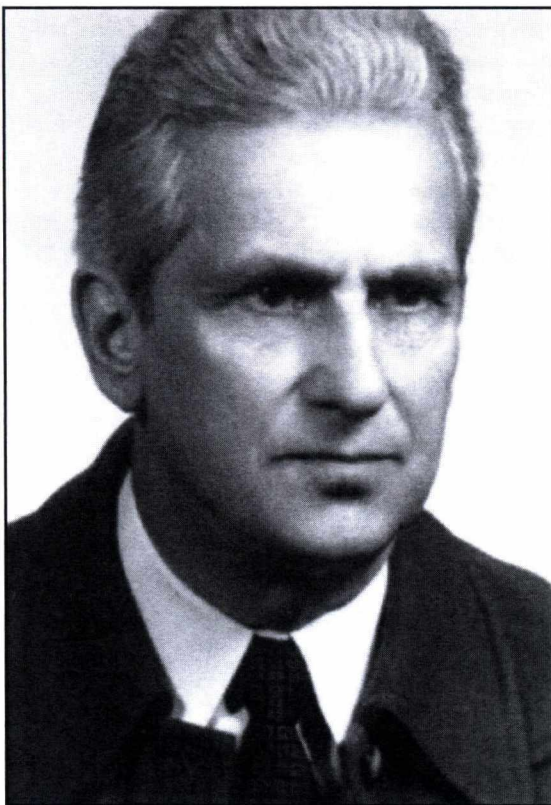
Z głębokim szacunkiem rozpamiętując drogę życiową Śp. Wacława, stwierdzamy, że była ona bez reszty wypełniona intensywną pracą na rzecz niesienia pomocy ludziom niepełnosprawnym. Obok tego humanitarnego powołania kultywował On niezachwianie pamięć o swoim rodzinnym mieście - Lwowie i harcerstwie, którego ideami w tamtych lwowskich czasach dożgonnie przesiąkł.

Czuwaj, Druhu Wacławie!

Zegnamy Cię, Drogi Kolego i Przyjaciół!

Rodzinie Zmarłego składamy serdeczne wyrazy współczucia i łączymy się w żal po Jego odejściu.

Lwowscy koledzy z VIII Gimnazjum:
Bolesław Kierski
Witold Reutt
Eugeniusz Matula



Śp. ojciec gen. Adam Studziński

(2 czerwca 1911 - 2 kwietnia 2008)

Ojciec generał Adam Studziński - urodził się w 1911 r. w Strześcińcu k/Żółkwi. W zakonie Dominikanów był od 1928 r. Święcenia kapłańskie przyjął we Lwowie (1937r.). Podczas wojny przez Bałkany przedostał się na Węgry, gdzie rozpoczął pracę duszpasterską wśród internowanych polskich żołnierzy przyczyniając się do przerzutu wielu z nich do armii polskiej we Francji. Następnie sam przedostał się przez Bałkany do Palestyny, gdzie dostał przydział do 2. Brygady Pancerniej w 2. Korpusie Polskich Sił Zbrojnych. Potem został kapłanem 4. pułku pancernego "Skorpion", z którym odbył kampanię włoską. Podczas bitwy o Monte Cassino odznaczył się heroicznym bohaterstwem, pomagając w ewakuacji rannych i niosąc duchową posługę umierającym żołnierzom. Za nadzwyczajną odwagę podczas bitwy o. Studziński został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i mianowany na stopień pułkownika. Po wojnie powrócił do kraju i mimo represji ukończył krakowską Akademię Sztuk Pięknych, uzyskując tytuł magistra konserwatora sztuki. Dzięki temu przywracał do dawnego stanu średniowiecznego krakowski klasztor oo. Dominikanów. Doprowadził do otwarcia klasztornego muzeum, opisując fachowo zbiory Zakonu. Jako żołnierz PSZ skupił koło siebie dawnych kombatanów i młodzież, której przekazywał wartości patriotyczne. W salach klasztornych corocznie organizował spotkania opłatkowe byłych legionistów Marszałka Piłsudskiego, na które przyjeżdżał z Zakopanego gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz i również przechodził ówczesny metropolita krakowski ks. kardynał Karol Wojtyła. W czasie stanu wojennego zbierali się u Dominikanów działacze opozycji. Uroczystości obchodzili

Święto Konstytucji 3 maja i odzyskania Niepodległości w 1918 r., a także rocznice Obrony Lwowa w listopadzie 1918 r. uświetnione koncertami.

W kościółku p.w. św. Idziego, stojącym w pobliżu Wawelu, urządził harcerski ośrodek duszpasterski, dzięki któremu powstała więź kombatanów z młodzieżą, czym nie była zachwycona władza komunistyczna.

W uroczystości przekazania odznaczeń wojennych Matce Bożej na Jasnej Górze w dniu 3 maja 1976 r. z udziałem generałów: Mieczysława Boruty - Spiechowicza i Romana Abrahama oraz innych przedwojennych wojskowych, o. plk. Studziński także wziął udział.

O. plk. Studziński był autorem "Przewodnika po polskich cmentarzach wojennych we Włoszech" oraz "Wspomnień kapłana 4. Pułku Pancernego "Skorpion". Odbył kilka podróży zagranicą: do Wielkiej Brytanii i USA, podczas których spotkał się z żołnierzami gen. Andersa, swoimi kolegami z 2. Korpusu.

Za swoją wojenną przeszłość został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta z Gwiazdą, Krzyżem Monte Cassino oraz wieloma innymi medalami zagranicznymi. Został również Obywatel Honorowy Królewskiego Stołecznego Miasta Krakowa, Skawiny i Lubnia.

O. gen.bryg. Adam Studziński zmarł 2 IV 2008 r. w Krakowie. Mszę pogrzebową odprawił w asyście księży J.Em. ks. Franciszek Macharski, setki krakowian odprowadziły uwielbianego kapłana na cmentarz Rakowicki, gdzie spoczął w Alei Zasłużonych.

Opracowała D.B.Ł



3.V.1976 r. Jasna Góra, klasztor oo. Paulinów. Uroczystość złożenia odznaczeń wojskowych przez żołnierzy II RP do Muzeum Matki Bożej. Od lewej: gen. M. Boruta-Spiechowicz, gen. R. Abraham, plk/gen. o. Adam Studziński, uczestnik walk 2 Korpusu WP, legionista kpt. St. Leszczyca-Przywara.

Fot. Danuta B. Łomaczewska.

Zmarł hrabia Wojciech Dzieduszycki



Jedno z ostatnich zdjęć hr. Wojciecha Dzieduszyckiego

Wojciech Dzieduszycki dla większości Dolnoślązaków był i będzie legendą. Zmarł w nocy z piątku na sobotę. We śnie. Przez kilkanaście ostatnich dni był bardzo osłabiony. Miał 96 lat.

IPN-owskie dokumenty ujawniające dwa lata temu jego współpracę ze służbami bezpieczeństwa podzieliły trochę te sym-

patie. Choć przyznał się do tego i przeprosił. Zrzekł się tytułu honorowego obywatela Wrocławia, który otrzymał w roku 1999. Większość ludzi starszych wybaczyła popularnemu Tuniovi - tak go nazywali przyjaciele i znajomi. Młodszy, niepamiętający czasów PRL-u, nie są tacy tolerancyjni.

Te smutne fakty nie mogą jednak zasłonić Jego sylwetki, jako postaci wyjątkowej w budowaniu kulturalnej tożsamości Wrocławia i Dolnego Śląska.

Był absolutnym symbolem lwowskich korzeni wielu mieszkańców Dolnego Śląska. Urodził się w Jezupolu koło Stanisławowa, na dzisiejszej Ukrainie. Wojciech hr. Dzieduszycki herbu Sas odebrał staranne wykształcenie. Studiował na Wydziale Rolnym i Mechaniki Rolnej Politechniki Lwowskiej, skończył też Konserwatorium Muzyczne we Lwowie. Był utalentowanym śpiewakiem i aktorem.

Do Wrocławia przyjechał w roku 1947. Zaangażował się do teatru, ale został dyrektorem młynów zbożowych i założył Technikum Młynarskie. Był autorem receptury pszennej mąki wrocławskiej.

Jednak nie młyny i mąka były prawdziwą pasją Tunia, ale rodzące się na tych ziemiach życie kulturalne, które komentował w prasie i je twórczo kreował. Był bez wątpienia postacią renesansową. Ponieważ tęsknił za sceną, założył z żoną kabaret „Dymek z papierosa”, który bawił i wzruszał Polaków przez 18 lat.

Powolał do życia Festiwal Chopinowski w Dusznikach-Zdroju. Maczał palce przy festiwalu moniuszkowskim w Kudowie-Zdroju, powstaniu Filharmonii Wrocławskiej, a wcześniej zawodowej orkiestry symfonicznej. Był jednym z inicjatorów powołania do życia wrocławskiego ośrodka telewizji Wymyślił Orfeusza - nagrodę przyznawaną na festiwalu Warszawska Jesień. Był też członkiem założycielem miesięcznika literackiego „Odra”. Zakładał i prezesował najróżniejszym stowarzyszeniom artystycznym. W roku 2005 spełniło się ostatnie z Jego marzeń. Odsłonięto pomnik Fryderyka Chopina.

Piszę o śmierci Tunia po raz drugi. Pierwszy raz zęgnąłem Go na łamach gazety 10 lat temu. Był pierwszą osobą, która mi ten kardynalny błąd dziennikarski wybaczyła. Przywołam Jego obraz jeszcze raz w najbliższym Magazynie tygodniowym naszej gazety.

Krzysztof Kucharski

Polska Gazeta Wrocławska z 5 maja 2008

Informacja

Zarząd Oddziału Stołecznego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich
uprzejmie przypomina,
że 9 sierpnia 2008 roku mija 6. rocznica śmierci

ks. Janusza POPLAWSKIEGO

Prezesa naszego Oddziału i Kapelana Kresowiaków.
Autokar na Cmentarz do Lasek
będzie podstawiony na Krakowskie Przedmieście 64, o godz. 13.00
(gmach Wspólnoty Polskiej).

Kronika

Warszawa

W dniu 8 kwietnia 2008 roku w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie przy ul. Długiej 7 odbyło się sympozjum naukowe połączone z wystawą „Polska - Persja/Iran XV - XXI w., sześć wieków wzajemnych kontaktów”. Patronat nad sympozjum i wystawą objął minister spraw zagranicznych RP. Udział w tym spotkaniu wzięli między innymi: ambasador Islamskiej Republiki Iranu i naczelny dyrektor Archiwów Państwowych. W trakcie sympozjum głos zabrał także członek TMLiKPW - Andrzej Mierzejewski wygłaszając wspomnienia pt. Ze szkół Isfahanu. Prelegent opowiedział o wywiezieniu go z rodzicami ze Lwowa w czerwcu 1940 roku oraz o późniejszym trzyletnim pobycie /w latach 1942-45/ w Iranie w mieście Isfahan. Wyjazd z sowieckiego zesłania do Iranu zarówno prelegenta jak i dziesiątków tysięcy innych sybiraków zorganizował generał Władysław Anders ratując ich od zagłady.

* * *

"Podolać Podolu" – DOM POLONII

W Domu Polonii 19 maja br. otwarta została wystawa, na którą składają się fotografie dokumentujące inwentaryzację cmentarzy polskich na Podolu. Kilka tysięcy odnalezionych nagrobków, polskie zabytki, które często są w opłakanym stanie, oraz piękno podolskiego krajobrazu.

* * *

W niedzielę, 8 czerwca 2008 r., w Domu Kolegiackim w Wilanowie odbył się recital wierszy i piosenek Leszka Długosza pt. „Po co ja to wszystko...”, z okazji XI rocznicy kanonizacji bł. Jana z Dukli, patrona Lwowa i Korony Polskiej, jak również patrona jednego z dwóch kościołów parafii oo. Bernardynów na Czerniakowie.

* * *

W końcu lipca minie dziesięć lat jak pożegnaliśmy na warszawskich Powązkach wybitnego poetę, eseistę, lwowiaka, który zawsze pamiętał o swoim ukochanym, a utraconym mieście, pod którym płynęła rzeka. Biblioteka Narodowa rozpoczęła herbertowski rok wystawą jego książek oraz imprez przeznaczonych dla młodzieży, której przybliżyła bogatą twórczość tego poety. W końcu maja Narodowy Bank Polski wyemitował piękne monety z wizerunkiem poety o wartości 2 zł, 10 zł i 200 złotych.

Srebrna moneta o wartości 10 zł, przedstawia na awersie twarz poety zacerpniętą przez artystkę rzeźbiarkę Dominikę Karpińską - Kopiec z fotografii Danuty B. Łomaczewskiej. Rewers zaś to Nike i napis: "Nike, która się waha" wzięty z wiersza Herberta.



Moneta 2 zł ze stopu Nordic Gold
1. awers
2. rewers



Moneta 10 zł ze srebra
1. awers
2. rewers

Na monecie złotej, wartości 200 zł, artystka Dominika Karpińska - Kopiec wykorzystała fotografię Isoldy Ohlbaum z Niemiec. Na rewersie rzeźbiarka umieściła postać Marka Aureliusza na koniu, co jest nawiązaniem do szczególnych zainteresowań poety starożytnością. Projekt tej monety został wykonany, podobnie jak nominalnie dziesięciozłotowy, przez rzeźbiarkę Dominikę Karpińską - Kopiec.

Moneta 200 zł ze złota
1. awers
2. rewers



Powyższe monety nie wejdą do ogólnego obiegu, gdyż przeznaczono je wyłącznie dla kolekcjonerów i będą dostępne w sklepach numizmatycznych. Aby zbieracze monet i czytelnicy Herberta nie zostali pokrzywdzeni NBP wydał szeroko dostępną monetę dwuzłotową, którą po nominalnej cenie można wymienić za obiegowe 2 zł w Banku Narodowym przy pl. Powstańców w Warszawie oraz w placówkach Banku w całym kraju. Awers tej monety jest projektu Ewy Tyc Karpińskiej, rewers zaś - Dominiki Karpińskiej-Kopiec. Wszystkie monety zostały wybite w Mennicy warszawskiej.

* * *

Na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie, Wydawnictwo "a5" z Krakowa udostępniło czytelnikom trzy książki Zbigniewa Herberta: "Pan Cogito", "89 wierszy" oraz "Król mrówek".

Miejmy nadzieję, że powyższe tytuły dotrą z królewskiego Krakowa do księgarni warszawskich, bo poeta tutaj mieszkał i tu ma wielką liczbę miłośników swojej twórczości. A może któraś z oficyn warszawskich wyda eseję Herberta?

Sprostowanie

W Biuletynie Informacyjnym nr 48 w artykule pt. „Wspomnienie o płk. dypl. Kazimierzu Szydłowskim” zamieszczonym na str. 24, w lewej szpalcie wkradł się „chochlik drukarski” - zmienił nazwisko gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza na Tokarzewski-Karaszewski.

Za co czytelników serdecznie przeprasza redakcja.



Odeszli

Wanda KARWOWSKA z d. Bereźnicka herbu Sas - ur. w 1915 r. w Nowym Zawodzie k/Żytomierza. Magister farmacji Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie Powstania Warszawskiego aresztowana i wywieziona do obozu w Łambinowicach, następnie do Brunświku. Po zakończeniu wojny pracowała w instytucjach pomocy dla Polaków w Niemczech. Po powrocie do kraju pracowała w Narodowym Banku Polskim. Zmarła 1 III 2008 r. w Warszawie, pochowana na cmentarzu Powązkowskim

Stanisław KIELSKI - lat 83, ur. we Lwowie. Absolwent Akademii Górniczo - Hutniczej w Krakowie. Zmarł 10 III 2008r., pochowany na cmentarzu Północnym w Warszawie

Alina CHWALIBOGOWSKA z d. Weigner - lat 93. Absolwentka Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (1938r.). Nestorka pulmonologów Górnego Śląska. Wieloletnia lekarka Działu Dziecięcego Wojewódzkiej Przychodni Chorób Płuc w Katowicach. Zmarła 18 III 2008r., pochowana na cmentarzu w Pyrach.

Karolina PIECHOWICZ - lat 94, ur. w Drohobyczu. Zmarła w Rawiczu i tam pochowana 3 IV 2008 r.

Czesław ZAWILSKI - ur. 1916r. na Wołyniu. Płk. Wojska Polskiego. Działacz polonijny na terenie San Francisco, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta oraz innymi medalami wojskowymi. Zmarł 26 III 2008 r., pochowany w Sacramento.

Maria KOMORNICKA z d. Śniadowska, lat 96, ur. we Lwowie, ukończyła Szkołę Gospodarstwa na Snopkowie. Zesłana przez sowietów do Kazachstanu. Po układzie Sikorski - Majski była żołnierzem 2 Korpusu gen. Andersa. W Palestynie pracowała jako siostra Czerwonego Krzyża. Po wojnie wyjechała do USA, gdzie pracowała społecznie w środowiskach polonijnych, pisywała do prasy polskiej w Anglii i Ameryce. Biuletyn Informacyjny Oddz. Stołecznego od pierwszego numeru drukował jej

wspomnienia i poezje. Zmarła w marcu 2008 r. w Milwaukee, Wisconsin, USA i tam została pochowana.

Waleria FUKSA z d. Sołtysikówna - ur. 1914 r. w Stryju. Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, współpracowniczka lwowskiej Rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie. Od 1940r. członek ZWZ a potem AK, uzyskując stopień kaprała WP. Po wojnie przedostała się do Anglii, następnie wraz z mężem wyjechała do Argentyny (1949r.). Tam działała w harcerstwie i Polskiej Macierzy Szkolnej, uczyła języka polskiego w Ognisku Polskim w Buenos Aires. W 1946r. objęła katedrę Literatury Polskiej na Uniwersytecie Katolickim Santa Maria w Buenos Aires, gdzie była współzałożycielką Biblioteki Polskiej im. Ignacego Domeyki. Poświęcała jednocześnie wiele czasu polskiemu życiu teatralnemu w Argentynie. Po przemianach ustrojowych w Polsce, powróciła do kraju i osiadła w Warszawie, uczestnicząc w życiu kulturalnym. Zmarła 1 IV 2008r. w Warszawie, pochowana w Wodzisławiu Śląskim.

Franciszek DUSZEŃKO - ur. 1925r. Artysta rzeźbiarz. Podczas wojny żołnierz Armii Krajowej Okręgu Lwów, inspektoratu Gródek Jagielloński. Więzień obozów Gross - Rosen i Sachsenhausen. Po wojnie rektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku (1981 - 1987), autor m.in. pomników na Westerplatte i w Treblince. Zmarł w kwietniu 2008r., pochowany na cmentarzu Centralnym w Gdańsku Wrzeszczu.

Bolesław BAJOREK - lat 87 ur. we Lwowie. Geograf, pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego. Zmarł 7 IV 2008r., pochowany na cmentarzu na Dołach w Łodzi.

Tadeusz CIEPLIŃSKI - ur. 1919r. we Włodzimierzu Wołyńskim. Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, pracownik Ministerstwa Finansów i Biura Finansowego Polskiej Akademii Nauk, specjalista w dziedzinie budżetu Państwa. Zmarł 4 IV 2008r. w Warszawie.

Józef ŚWIDERSKI - ur. 1917r. w Czortkowie. Pracownik Ministerstwa Leśnictwa, a następnie FAO. Zmarł na Florydzie w kwietniu 2008r., pochowany w Princeton New Jersey, USA.

Marta Adelajda KŁYSZEWSKA z d. Suchanek - ur. 1909 w Otyni koło Kołomyi. Absolwentka Akademii Górniczo - Hutniczej w Krakowie. Pierwsza w Polsce kobieta inżynier górnik. Podporucznik AK, łączniczka, ps. "Marta" i "Grześ", podkomendna dr. Witolda Lisa-Olszewskiego w komórce Legalizacji Oddziału i Komendy Głównej. Uczestniczka Powstania Warszawskiego, po kapitulacji przebywała w obozie pruszkowskim, następnie do czasu "wyzwolenia" mieszkała w Bystrej. Od maja 1945r. mieszkała w Warszawie, gdzie prowadziła Bibliotekę Instytutu Techniki Budowlanej na stanowisku adiunkta, a ostatnie lata pracy zawodowej - w Centralnym Ośrodku Badawczo - Rozwojowym Przemysłu Betonów. Przetłumaczyła z francuskiego książkę Jean Francois Steinera "Varsovie 44" i z angielskiego płk. Jana Karskiego "The great powers and Poland" oraz Johna Bermiana "Waldenberg, the unsung hero". Działała w Światowym Związku AK. W kwietniu 2004 roku została awansowana na stopień podporucznika WP. W stanie wojennym współpracowała z "Nową", "Kręgiem" i "Tygodnikiem Mazowsze". Za pracę zawodową została wyróżniona Złotym Krzyżem Zasługi i odznaczeniami resortowymi, za działalność konspiracyjną otrzymała Krzyż Armii Krajowej, a w r. 2007 prezydent Lech Kaczyński odznaczył Ją Krzyżem Kawalerskim Orderem Odrodzenia Polski. Zmarła 10 IV 2008r. w Warszawie, pochowana na starych Powązkach.

Andrzej WITOLD LASKOWNICKI - lat 82, ur. we Lwowie. Doktor medycyny. Absolwent VIII Gimnazjum we Lwowie. Żołnierz AK, ps. "Sęp", bat. "Gustaw" komp. "Anna", powstaniec warszawski. Odznaczony m.in. Krzyżem Armii Krajowej, Warszawskim Krzyżem Powstańczym. Zmarł 16 IV 2008 r., pochowany na starych Powązkach.

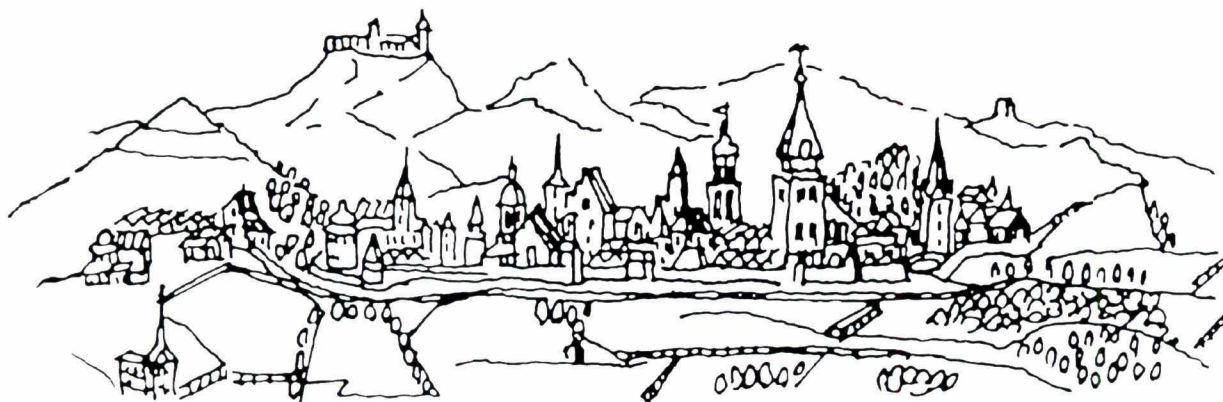
Wojciech DZIEDUSZYCKI Tunio - ur. 1912 r. w Jezupolu k/Stanisławowa. Artysta, dziennikarz, śpiewak, inżynier. Człowiek wielu talentów. Zmarł we Wrocławiu 2.V.2008 r. pochowany na cmentarzu św. Wawrzyńca.

Helena MADUROWICZ-URBAŃSKA - ur. 1918 r. we Lwowie. Studia Historyczne rozpoczęła na Uniwersytecie Jana Kazimierza ukończyła historię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jedna z najwybitniejszych znawczyń dziejów społecznych i gospodarczych XVI - XX w. Profesor doktor habilitowany UJ, zajmowała wiele stanowisk naukowych, członek krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych, członek rzeczywisty PAU, Polskiego Towarzystwa Historycznego i Polskiego Towarzystwa Socjologicznego oraz International Association of Agricultural Museums. Więziarka obozu w Majdanku, Ravensbruck i Buchenwaldzie. Odznaczona m.in. Medalem Polskiej Akademii Nauk, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta. Zmarła 8 V 2008r. w Krakowie, pochowana na cmentarzu Rakowickim.

Oprac. Łom



Fot. Jacek Gaj



ISSN 1506-400X

Biuletyn Oddziału Stołecznego Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich.
Nr Pr 830/96

Redakcja merytoryczna: Zarząd TMLiKPW Oddział Stołeczny
Redakcja techniczna: Zbigniew M. Chmielowski

Skład, łamanie komputerowe i druk: Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna „ADAM”
ul. Rolna 191/193, 02-729 Warszawa
tel. (0-22) 843-37-23, (0-22) 843-08-79, fax (0-22) 843-20-52

Materiały do Biuletynu proszę składać w Oddziale
przy Krakowskim Przedmieściu 64, 00-322 Warszawa
tel. (0-22) 556-90-16, centrala (0-22) 556-90-00 w. 116.
Dyżury Oddz. we wtorki i czwartki godz. 10-13, środy godz. 15-17

Konto: PKO BP SA VI O/W-wa nr 80 1020 1068 0000 1902 0061 1426
Redakcja zastrzega sobie prawo adiestacji materiałów. Za poglądy autorów
Redakcja nie odpowiada.
Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Do użytku wewnętrznego